

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄD GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

„Cięższą podajcie mi zbroję...”

O d wielu lat w codziennym naszym budownictwie socjalistycznym, we wszystkich wielkich kampaniach i ostrych bitwach klasowych uczestniczy i produkuje młodzież, przede wszystkim zetem-powska. Szczególnie poważny jest jej udział w rewolucji, jaka dokonała się i pogłębia w życiu wyższych uczelni.

Dzięki organizacji zetem-powskiej oczyszczone zostały szeregi akademickie z elementów bumelanckich i karłowatych, z bikiniarzy i wyznawców amerykańskiego kosmopolityzmu.

Studenci-zetempowcy pomagają co roku w akcji naboru, w walce o dalszą poprawę struktury klasowej młodzieży.

Zetem-powska organizacja studencka kieruje pracą ideologiczną młodzieży, czynnie pomaga w pogłębianiu przez nią światopoglądu naukowego.

Zetem-powcy walczą z odpadem i z odsiewem i przed każdą sesją egzaminacyjną uświadamiają młodzieży o politycznym znaczeniu terminowego zaliczenia semestru.

Dzięki zetem-powcom studenci w olbrzymiej swej większości skupili się pod sztandarami Frontu Narodowego, pod sztandarami patriotyzmu i internacjonalizmu.

Tym tłumaczy się najbardziej żywe zainteresowanie pracowników naukowych tocącą się w całym kraju — w zakładach pracy, w szkołach i uczelniach, dyskusją na temat statutu organizacji-zetem-powskiej.

Prof. R. CZERNECKI
Rektor WSP w Gdańsku

Organizacja ta ma w gdańskiej WSP (podobnie jak w innych uczelniach) bardzo poważny dorobek. Jest siłą motoryczną w pracy naukowej i ideologicznej. Z jej szeregów wyszli pierwsi w kraju absolwenci — pionierzy, skierowani na ich własne życzenie na najbardziej trudne i odpowiedzialne placówki oświatowe. Wiele z nich przoduje w pracach pedagogicznych i społecznych.

Absolwent matematyki, tow. Brzózka pracuje w najbardziej na zachód wysuniętym mieście, w trudnym środowisku. Świeci on tam przykładem aktywności społecznej, przyczynił się do powstania wzorowego koła zetem-powskiego, a liceum, w którym pracuje, o niedobrych do niedawna tradycjach — zajmuje obecnie czołowe miejsce w województwie.

Tow. Zienkiewicz, absolwent filologii polskiej, zdobył sobie w Lubaniu swą wzorową zetem-powską postawę, zaufanie i sympatię nielataną do pozyskania młodzieży mazurskiej.

Absolwent chemii, tow. Dubowski, dzięki przeprowadzaniu atrakcyjnych ćwiczeń i demonstracji o poważnych wartościach światopoglądowych jest otoczony w gdańskim MDK gromadą wielbicieli.

I Brzózka i Zienkiewicz i Dubowski i inni im podobni, wyrośli i politycznie dojrżeli w kołach uczel-

nianej organizacji ZMP. Dopomogli im one przedrzeć się przez dziedzictwo starych pojęć, przesądów i zabobonów, rozpalili w nich entuzjazm dla naszego socjalistycznego budownictwa i potrzebę współuczestniczenia w nim.

Nie wszystkie niestety koła ZMP w naszej uczelni posiadają takie osiągnięcia. Przeważają koła inne: biernie, apatyczne, pracujące według szkolarskich nawyków i metod. Wychodzą z nich zetem-powcy często niewiele albo niczym nie różniący się od studentów nie należących do organizacji, ludzie poprawni, nieraz o niezwykłym zawodowym przygotowaniu, przywiązani do Polski Ludowej, cieszący się z jej osiągnięć i z jej rozwoju, chętnie wykonujący powierzone im zadania. Ale zawsze dzieje się to z czyjejś inicjatywą, pod czymś kierunkiem, za cząją radą, ludzie pozbawieni samodzielności, inwencji, odwagi cywilnej, wiecznie oglądający się za kimś, stale lękający się odpowiedzialności.

O takich zwykło się mówić: pocciwy, dobry z krwi i kości ale... prochu nie wymyślił.

A my właśnie chcemy, żeby nasi zetem-powcy mieli odwagę wymyślać proch, nie lękali się walki i niełatwych często sporów z sobą i otoczeniem, nie bali się myśleć i mówić, aby śmiało i z własnej inicjatywy wychodzili naprzeciw trudnościom, aby mieli odwagę mówić za Mickiewiczem „mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję”.

W jakich warunkach może uczelniana organizacja zetem-powska przezwyciężać nawyk wychowania ludzi miernych i biernych? Aktywizacja ogółu studenckiej młodzieży ZMP-owskiej wymaga zmiany dotychczasowych metod pracy wychowawczej. Sprawa szczególnej wagi jest stałe i systematyczne dążenie do zastąpienia dotychczasowego szkolarskiego stosunku studentów do nauki — twórczą postawą.

Nazywajmy po imieniu rzeczy: wiedza receptowa, podręcznikowa, wkuwanie na użytek egzaminatorów kształci dyletantów!

W uczelnianych kołach ZMP-owskich należy przesunąć punkt ciężkości z nudnych, schematycznych, o charakterze organizacyjno - porządkowym zebrań na pracę naukową, badawczą, na udział w teoretycznych sesjach naukowych, czytanie i dyskusowanie. Trzeba stworzyć klimat dla odważnego i szczerego mówienia o wątpliwościach, obiekciach, rozterkach i zastrzeżeniach. Trzeba zainteresować się sprawą wzrostu i rozwoju ideologicznego i politycznego nie tylko nielicznego aktywnego ale całej zrzeszonej i niezrzeszonej młodzieży.

Jedną ze skutecznych, niestety dotąd w niedostatecznym mierz wykorzystanych w tej dziedzinie możliwości — jest właściwie pomysł na organizację życia świetlicowego

(Dokończenie na str. 3)

PETER HOFFMANN

10 lat wolnej Warszawy



Foto inż. arch. A. Funkiewicz

Z myślą o sesji



Na zdjęciu: studenci III r. wydz.chemii Politechniki Warszawskiej kol. kol.: Konczyńska, Ornoch i Boidok podczas zaliczania zadań i ćwiczeń z aparatury przemysłu chemicznego. Egzaminatorem jest mgr. inż. Krystyna Olszewska. Foto CAF

T ak już bywa, że po pewnym okresie wytężonej pracy odrywamy się na chwilę od swego warsztatu, prostujemy plecy, przecieramy zmęczone oczy i z zaciekawieniem przyglądamy się dziełu naszych myśli i rąk — udane czy nieudane? Rozważamy wówczas, czy wysiłki nasze okazały się pożyteczne, jak w przyszłości ustrecz się błędów popełnionych w minionym czasie.

Tak jest wszędzie gdziekolwiek pracuje twórcza myśl i posłuszne jej ręce. Tak jest i w życiu studenta — w okresie sesji. Sprawdzamy wtedy jak uczyliśmy się: czy była to nauka rzetelna, twórcza, czy też przeżyliśmy pół roku bez większego pożytku dla wzbogacenia wiedzy i rozszerzenia naszych horyzontów myślowych.

Sesja — to sprawdzian przygotowania do przyszłej pracy zawodowej, to zarazem sprawdzian naszego patriotyzmu, Ojczyzna czeka na ludzi-twórców, na fachowców mądrych, kulturalnych, o szerokich zainteresowaniach. Każda sesja, każdy nowy egzamin przybliżają nas do warsztatu przyszłej pracy i dlatego musimy tak wykorzystywać studencki czas, uzyskiwać takie wyniki na egzaminach, by nie zawieść zaufania tych, którzy liczą i czekają na naszą wiedzę i umiejętności.

Ale myliłabym się sądzić, że wystarczy ody wiadomości nasze oceni profesor i wpisze odpowiednią notę do indeksu. Oczywiście stopień uzyskany na egzaminie jest bar-

dzieł lub mniej dokładnym wykładnikiem opanowania przez nas danego przedmiotu, ale jest to sprawdzian i e w y s t a r c z a j a c y.

Chodzi o to, by w okresie sesji sumę wiadomości przedstawić do oceny samemu sobie, przed pojsciem na egzamin do profesora zdać egzamin przed samym sobą. Jeśli tylko nie jesteśmy zadufkami — ocena własna powinna być nie mniej wnikliwa i ostra od oceny egzaminatora. Niech nie zadowala nas rzad niezłych stopni w indeksie; w przyszłej pracy przy rozwiązywaniu wielu różnorodnych problemów (nieraz takich, o których na uczelni nie słyszeliśmy ani słowa) nie będzie można odwoływać się do ocen w indeksie, a tylko do swej wiedzy, do swych umiejętności.

Styczeń br., okres sesji, to również okres gorącej dyskusji nad projektem Statutu Związku Młodzieży Polskiej.

Projekt ten m. in. stwierdza: „Sprawa szlachetnej ambicji każdego zetem-powca powinna być wytrwałą pracą nad zdobywaniem wiedzy, nad przyswajaniem sobie naukowego światopoglądu, zwalczanie ciemnoty, przesądów i zacofania”.

Dla kogoś bardziej, jeśli nie dla studentów, słowa te mają być nakazem, wytyczną twórczego wysiłku. Jeśli przyjmijemy je za busolę w naszym studenckim życiu — wówczas każda na tępną sesję witac będziemy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku i w każdej następnej sesji uzyskiwane przez nas wyniki będą coraz lepsze.

Kaczka jednak poleciała...

J. GESTERN

-T ak, proszę pana. Pan nie jest w stanie opanować logiki.

Profesor przetarł okulary i spojrzał uważnie na siedzącego przed nim studenta.

— Z człowiekiem to tak, jak z kaczka. Natura dała jej błony między palcami, przystosowała ją do pływania. Domowa kaczka nie umie latać... Lepiej by było, gdyby pan wrócił do krawiectwa, bo z nauką u pana nieiego.

Na korytarzu otoczył Janka zdenerwowani „gieldziarze”. Ze wszystkich stron posypały się pytania.

— Jak ci poszło?
 — O co pytał?
 — Ile dostałeś?

Janek nie odpowiedział ani słowa. Nie podniósł nawet oczu. Odepchnął najbardziej natrętnych i wybiegł na ulicę. Nikt go nie próbował zatrzymać. Było jasne: oblał.

Mróz szczypał w twarz, wdzierał się pod kurtkę. Nie czując zimna Janek szedł wolno w stronę Placu Zamkowego. Przez głowę mknęły strzępki myśli: Jak to się stało?... dlaczego?... przecież się uczył... zdawało się, że jest przygotowany... Prześladowały go ciągle słowa profesora: kaczka nie umie latać...

Ciężko przeżył Jan Trela tę pierwszą porażkę. Chwilami ogar-

niało go zupełne zniechęcenie. Przecież można rzucić studia, wrócić do stołu krawieckiego, do maszyn, żelazka — rzeczy, do których się przyzwyczaił, które go nie zawiodą. Z uporem odpychał od siebie tę stałą powracającą, natarczywą myśl.

Wracal pamięcią wtęsz, do małej wioszczyny w woj. kieleckim. Dzieciństwo miał ciężkie. Trzy hektary lichego gruntu z trudem żywiły liczną rodzinę. Gdy wybuchła wojna Janek ukończył 11 lat i trzy klasy szkoły powszechnej. Podczas okupacji zrobił jeszcze trzy klasy, ale — cóż to za nauka. Jedynym podręcznikiem były stare „Plomyki”. Ani lekcji historii ani geografii. Okupant raz po raz zajmował szkołę to na koszarzy, to na szpital, to jeszcze w innym celu.

Przyszło wyzwolenie — i czymś nowym powiało w Długowoli. Mówiono o peperwach, do których strzelają bandyci z lasu za to, że chcą dzielić ziemię. Mówiono też, że powstała jakaś organizacja, która nazywa się „Wici”.

Pewnego dnia na płocie otaczającym placik przed kościołem wywieszony został pisaný od ręki afisz, który zawiadamiał, że wieczorem cała młodzież ma przyjść do Winiewicz. Będzie zebranie. Janek był ciekaw, co z tego wyniknie. Może szkołę otworzą w Długowoli?

Gdy wracał z zebrania, przyszło mu do głowy, że w tym, co mówił synu najbogatszego we wsi gospodarza, Winiewicz, nie wszystko jest w porządku. Ileż to razy musiał stary Trela chodzić na odrodek do ojca Winiewicza! Tak było przed wojną, tak było w czasie okupacji, tak jest i teraz. Pewno, sam Winiewicz z synem nie może obrobić swoich 60 mórg, ale dlaczego za metr zboża każe pracować tydzień, albo więcej? To jest niesprawiedliwość. Więc dlaczego Winiewicz gada, że wszyscy chłopcy powinni iść razem i nie słuchać tych, co mówią o jakiejś reformie?

O szkole na zebraniu nie nie wspomniano. Bardzo to Janka zmartwiło. Chciał się uczyć, a najbliższa szkoła była w Solcu, małym miasteczku, położonym o kilkanaście kilometrów na wschód od Długowoli.

Ojciec Janka długo zastanawiał się, co zrobić z synem. Był to człowiek chorowity i z trudem dawał sobie radę na swym niewielkim gospodarstwie, postanowił jednak, że Janek pojedzie do Solca uczyć się krawiectwa. Szkoła szkołą, a pomoc rodzinie trzeba.

W ten sposób Janek został terminatorem krawieckim. Trzy lata spędził przy maszynie i stole krawieckim. Opanował zawód, pomagał ojcu. Nie był jednak zadowolony. Często patrzył przez okno na biegnących z teczkami uczniów i ręka jego uzbójona w igłę i napaśtek zatrzymywała się na chwilę,

Na wiosnę 1949 r. Janek powziął postanowienie: zapisze się do średniej szkoły wieczorowej. Będzie się uczył i pracował.

Przygotowania do egzaminu kosztowały go wiele trudu. Brak przygotowania do pracy umysłowej i długotrwała przerwa w nauce dawały się porządnie we znaki. Pracował do późnej nocy.

We wrześniu Janek po raz pierwszy od pięciu lat zasiadł na ławie szkolnej.

Uczyć się nie było łatwo. Po całym dniu sycia Janek biegł do szkoły, wracał późno i siadał do odrabiania lekcji. Staral się wykorzystać każdą wolną chwilę. Pewnego razu włączył żelazko i czekając, aż się rozgrzeje, chwycił książkę. Z lektury wyrwał go dopiero śwąd przypalającego się materiału.

Przed pojsciem do szkoły wydawało mu się, że wszystko jest bardzo proste. Będzie się uczył, zda maturę, potem pójdzie na wyższe studia. Nie zadawał sobie jeszcze pytania, co będzie studiował. „Zobaczmy” — myślał.

Już w ósmej klasie zrozumiał, że istnieje sprzeczność między tym, co mówi ksiądz na religii, a tym co mówią nauczyciele na lekcjach fizyki, biologii i historii. Kto ma rację? Na to pytanie Janek nie potrafił odpowiedzieć.

Gdy był jeszcze zupełnie mały, matka opowiadała mu o dobrym Bogu, który przyszedł na ziemię z nieba, o złych ludziach, którzy go zabili i o tym, jak on znów stał się żywy i wrócił do nieba. Janek pamiętał, że ojciec machał na to ręką i śmiał się z matki, gdy przy niedzieli prowadziła całą gromadkę do kościoła.

Od tamtych dni minęło jednak sporo czasu i Janek nie był przekonany, czy to, co opowiadała mu matka, jest mitem. Pozostała mu wiara w jakąś siłę wyższą, która rządzi światem, kieruje ludzkimi losami. Wiara ta wydawała się Jankowi tak zrozumiała i naturalna, że zanim zaczął się uczyć, nigdy nie zastanawiał się nad tym, że może być inaczej.

Któregoś dnia zaczął go na korytarzu Zaremba, przewodniczący szkolnego koła ZMP:

— Przyjdź w niedzielę na zebranie naszego koła. Będzie ciekawa dyskusja.

Zebranie przeszło burzliwie. Obecni podzieliли się na dwa obozy. (Obecni byli prawie wszyscy — uczniowie VIII klasy). Część występowała zdecydowanie przeciwko uczestniczaniu na lekcje religii. Wysocki, szary Zaremba gorątkowo dowodził:

— Księża zawsze wysługiwali się wyzyskiwaczom. Za pomocą religii otumaniali ludzi. Starali się zrobić z nich posłuszne owieczki. Chcieli żeby ludzie znosili w pokorze wyzysk, nie zrywali się do walki, nie wszczykali buntów!

(Dokończenie na str. 7)

Nasze partyjne zadanie

CZESŁAW KROPORNICKI

UMCS — Lublin

Dlaczego nie rośniemy?

Do Białegostoku przyjechałam przed półtora rokiem. Ale już trzy miesiące wcześniej, na czasokursie dla aktywu ZMP w Złotowie — gdzie byłam wykładowcą i kierownikiem naukowym — spotkałam po raz pierwszy grupę młodzieży z białostockiej Akademii Medycznej. Energiczny, gwałtownie reagujący Adam i cicha Lusja zwracali na siebie szczególną uwagę. Byli wtedy pod głębokim wrażeniem niezwykłych wydarzeń, które zaszły na Akademii i wzburzyły umysły studentów: oto dzięki interwencji partii, po wnikliwym rozpatrzeniu sprawy powróciło na uczelnię kilku pochoptnie usuniętych studentów postawionych przez ówczesne kierownictwo organizacji ZMP-owskiej w rządzie wrogów Polski Ludowej.

W żarliwych dyskusjach o pracy ZMP-owskiej na wyższych uczelniach sprawa ta powracała podczas czasokursu jeszcze niejednokrotnie. Z gąszcza wypowiedzi, przykładów, wątpliwości i uwag studentów białostockich wyłaniał się zwolna obraz dusznej, ciasnej, pełnej nacisku i przymusu, nieufności i lęku atmosfery, która panowała w ich organizacji w ciągu z górą dwóch lat istnienia Akademii Medycznej.

Od pierwszych chwil pobytu na tej uczelni — zagadnienie młodzieży zajmowało mnie głęboko. Najpierw badałam je z pozycji asystenta — wychowawcy, nauczyciela. Od dziesięciu miesięcy jestem sekretarzem Oddziałowej Organizacji Partyjnej studencko — asystenckiej i od tej pory czynny wkład w wychowanie młodzieży jest moim podstawowym, partyjnym obowiązkiem.

Sytuacja panująca wśród studentów przed ówymi półtora rokiem, elementy której przetrwały zresztą do dziś, była niejasna i niełatwa do zanalizowania.

Od pierwszego zetknięcia ze studentami na wykładach, ćwiczeniach i zajęciach obowiązkowych, odniosłam niezwykle dodatnie wrażenie. Cechą szczególną tych córki i synów białostockich wsi, białostockich miasteczek, obywateli tej do niedawna „gorszej” połowy Polski, Polski „B” — był i jest poważny, głęboki, szczerzy i pełen szacunku stosunek do wiedzy, do nauki. Na ćwiczeniach i zajęciach nie było nic z tej beztroskiej, „lekkiej” atmosfery, jaka panowała się często w starszych, zasobniejszych, bardziej luksusowo wyposażonych uczelniach w Polsce. Ściśnięcie często w ciasnych salkach ćwiczeń naszych skromnie urządzonych klinik, czekających na swoją kolej przed przeciążonymi salami wykładowymi — byli poważni, czujni na każde słowo, krytyczni, ale pełni zaufania, myślący i wdzierający za każdą formę pomocy w zdobywaniu wiedzy.

Jaki kontrast, jakie niewytłumaczalne różnice, jakże odmienne wrażenia nasuwało zetknięcie z tą samą młodzieżą na zebraniu zetempowskim, w pracy organizacji w o-

BARBARA NAWROCKA-KAŃSKA
Adiunkt kliniki chorób dzieci, Sekretarz OOP wydziału lekarskiego Akademii Medycznej w Białymstoku

góle! Bierność, beztroska w stosunku do poleceń, „sobiepaństwo”, pozbliżliwość trąca liberalizmem w najgorszym stylu, zatłuczająca „socjaldemokratyzmem” — zamiast wewnątrzorganizacyjnej, świadomej dyscypliny i demokracji. Żenująca cisza na (jakże nieczęstych) zebraniach, atmosfera hasła „śmierć fraterom”, atmosfera biernego oporu w stosunku do wysiłków aktywu młodzieżowego — oto objawy choroby trawiącej organizację w owym okresie.

Wyruszyliśmy na poszukiwanie źródeł tego stanu rzeczy. Uczyniliśmy wysiłek, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego ta dobra, uczciwa, pracowita, poważna młodzież zajmuje tak niezwykle stanowisko w stosunku do pracy w ZMP?

A odpowiedź na to pytanie należało znaleźć jak najszybciej, jeżeli chcieliśmy jako organizacja partyjna, właściwie wypełniać swe zadania w stosunku do ZMP.

Z wypowiedzi tzw. „szarych członków”, z obserwacji i wspomnień, wynikało nieodparcie twierdzenie: ówczesny liberalizm, rozprężenie organizacyjne, bierność — to wszystko było naturalną i bezpośrednią konsekwencją panoszącego się przedtem sekciarstwa, terroru i... „trzymania ludzi za twarz” przez niektórych aktywistów.

Przez z górą dwa lata „epidemia” ta szalała na naszej uczelni. „Wszystkie akcje szły wtedy świetnie” — wspomina dziś tow. Szmidt, student V roku. — „Udział w nich młodzieży był stuprocentowy, można nas było użyć do „zorganizowania” chyba wszystkiego. Spróbowałby się kto sprzeciwić! Usunięcie z organizacji pociągało za sobą nieuchronnie widmo usunięcia z uczelni. Na tytuł „wroga” nie trudno było zarobić. Ludzie się bali”.

„Robiono mi na przykład zarzut z tego, że... „zadaje się” z córką lekarza” — skarży się student, który na studia przyszedł prosto od pracy fizycznej, którego ojciec, robotnik, przed wojną pracował cztery miesiące w roku. „Każdego zebrania bałem się. Bałem się wciąż powtarzających się zarzutów, że odrywam się od swojej klasy”.

Sekciarstwo i strach zastępowały pracę wychowawczą. Ale na miejsce ich nowowytbrane władze ZMP nie umiały od razu postawić innych, słusznych politycznie metod pracy z młodzieżą. Wydaje mi się, że poważną część winy ponosi Zarząd Wojewódzki ZMP, który w tym przełomowym okresie dla Akademii Medycznej — przed dwoma laty — nie poparł młodego, niedoświadczonego aktywu, nie podsunął mu właściwych metod działania.

„Mówiono nam, że trzeba pogłębiać pracę” — wyznaje były kierownik or-

ganizacyjny Zarządu Uczelnianego. „ale jak to się robi, tego nam konkretnie nie powiedziano.”

A więc minęły prawie dwa lata. Dzisiaj już nie jesteśmy w ślepych zaułkach. Czynimy coraz skuteczniejsze, coraz bardziej zorganizowane i celowe wysiłki, żeby stan poprzednio opisany poprawić. Aktyw nasz odzyskuje kontakt z młodzieżą. Wprowadza atmosferę życzliwości, kole-

żeństwa, bezpośrednich stosunków. Dyskusja przedjazdowa nad statusem jeszcze w tym pomoże, spełni rolę przysłowiowego „kija w mrowisku”.

Zagadnienia wychowania młodzieży stają w centrum uwagi całego grona wykładowców, naszej rady wydziału, w której zyskujemy pożytecznego, a niedocenianego często sojusznika.

Iść po słusznej drodze — odrabiając zgnębne skutki sekciarstwa — nie obsunąć się z kolei „w prawo” — oto obecna troska naszej organizacji partyjnej w pracy z młodzieżą, oto problem, który musi być przez nas rozwiązany.



Tłoczno w tym korytarzu, że doprawdy trudno się przecisnąć, a cóż dopiero uczyć. A jednak ten wąski korytarz stanowi jedyną świetlicę, klub „cichych” nauki dla kilku tysięcy studentów Politechniki Warszawskiej. W okresie sesji panuje tu prawdziwie „spokojna, naukowa” atmosfera. Foto CAF

Nie tylko wyklądać — trzeba wychowywać

Doc. dr STANISŁAW BOCZOŃ

Prodziekan wydz. lek. AM w Białymstoku

Wychowanie młodzieży na pełnowartościowych obywateli stanowi jedno z najważniejszych zagadnień w życiu naszego kraju.

Wyrazem troski o właściwe ujęcie tego problemu był m. in. szereg konferencji i posiedzeń dyskusyjnych, zainicjowanych przez władze partyjne zarówno centralne, jak i terenowe. Ministerstwo Zdrowia np. poświęciło temu zagadnieniu specjalną konferencję. W obszernych referatach i minister Barcikowski i prof. dr Roński dyrektor departamentu Zarządu Wyższych Szkół Medycznych, poddali wnikliwej analizie zagadnienia wychowawcze na wyższych uczelniach medycznych. Podkreślili, że zadaniem akademii jest ukształtowanie nowego typu lekarza, przygotowanego dobrze nie tylko pod względem fachowym, lecz również wyrobionego społecznie, o ugruntowanym światopoglądzie materialistycznym, szerokich zainteresowaniach, umiejącego łączyć interes społeczny z osobistym.

W referatach i w czasie dyskusji zgodni podkreślano, że ciężar pracy wychowawczej nie może (jak to się dotychczas działo na większości uczelni) spoczywać wyłącznie na organizacjach młodzieżowych. Wychowaniem młodego pokolenia musi się zająć cały kolektyw nauczający.

Prof. dr Kielanowski, rektor AM w Białymstoku, który zawsze żywo interesuje się wszystkimi sprawami dotyczącymi studentów — zwołał w grudniu ub. roku posiedzenie Senatu z udziałem przedstawicieli KW PZPR, POP, personelu pomocniczo-naukowego i administracyjnego, oraz ZU ZMP i KU ZSP — na którym omówiono zagadnienia związane z sytuacją na uczelni i sposobami jak najszerszego, wychowawczego oddziaływania na młodzież.

W toku dyskusji wyłoniły się następujące wytyczne postępowania:

1 — konieczność należytego kształtowania światopoglądu materialistycznego młodzieży — stąd niezbędny udział wykładowców i asystentów w nasycaniu treściami filozoficznymi wykładów i ćwiczeń.

2 — wdrażanie młodzieży do pracy nad sobą — stąd konieczność ożywienia działalności kół naukowych, względnie tworzenie nowych kół oraz organizowanie naukowych sesji studenckich.

3 — przestrzeganie dyscypliny nauki, przy jednoczesnym podniesieniu form oraz treści nauczania.

4 — żywszy niż dotychczas kontakt z młodzieżą i zainteresowa-

nie jej problemami zarówno ze strony wykładowców, jak i asystentów, zwłaszcza opiekunów lat i grup.

5 — wciągnięcie jak najszerszego aktywu młodzieżowego do pracy wychowawczej i społecznej (sprawy kulturalne, gospodarcze, służby zdrowia, akcja łączności ze wsią, obozy naukowo-społeczne itd.).

Ważny czynnik w działalności wychowawczej naszej uczelni stanowi praca na terenie Domu Studenta. Rada Mieszkańców nakreśliła ambitny program działania, m. in.: ożywienie życia świetlicowego, organizowanie dyskusji, wieczorów poświęconych twórczości Mickiewicza i Chopina, urządzanie imprez, jak np. konkursy recytatorskie, turnieje szachowe. Pomyśleliśmy także o turnieju brydżowym — gra w karty (zjawisko zresztą sporadyczne w naszym DS) — straci wówczas posmak... zakazanego owoc.

Osobny rozdział w pracy wychowawczej stanowić będzie kształtowanie kultury życia codziennego — przez częstsze wizyty w DS wykładowców i asystentów, organizowanie konkursów czystości i estetycznego urzą-

wać pomocy, wskazania najważniejszych zadań — niestety pomocy tej zabrakło Bezpośrednim zwierzchnikom Zarządu Koła jest Zarząd Wydziałowy ZMP. W czasie konferencji wydziałowej prosiliśmy starszych kolegów o pomoc. Wypowiedzi ich sprawadzały się mniej więcej do jednego:

— U nas, na pierwszym roku, było jeszcze gorzej — na starszych latach będzie lepiej.

Parę dni temu przewodniczący Zarządu Wydziałowego powiedział nam: „U was jest chociaż gazetka, to znaczy, że coś się robi, u nas jest jeszcze gorzej”.

Tak się przedstawia pomoc Zarządu Wydziałowego. A przecież my nie chcemy wiele — chcemy, aby Zarząd Wydziałowy poznał problemy nurtujące nasze koło i w oparciu o nie wskazał nam główne kierunki pracy.

Wśród członków koła nie brak jest inicjatywy, czy chęci do pracy. Orkiestra uczelniana — to w przeważającej części studenci naszego roku. Przed wyborami do rad narodowych zorganizowaliśmy (jedyny na pierwszych latach UMCS) zespół artystyczno-agitacyjny. Obecnie kompletujemy biblioteczkę, którą chcemy zawieźć pionierom pracującym w jednym z lubelskich PGR-ów. Trzeba więc tylko umieć tą inicjatywą pokierować, wskazać najważniejsze zadania. Brak zainteresowania i pomocy osłabiają zapał, zniechęcają do pracy.

Patrząc z pozycji pierwszorocznika na pracę Zarządu Wydziałowego, dochodzę do wniosku, że ZW stanowi luźne ogniwo w łańcuchu organizacyjnym, które nie ułatwia, a utrudnia pracę Zarządu Koła. Zachowanie drogi służbowej wymaga zwracania się do ZW, ale na ogół nie wywołuje to żadnego odgłosu. Jeżeli inne Zarządy Wydziałowe pracują tak jak przy wydziale prawa — to moim zdaniem należałoby je rozwiąć, a ich aktywność zasilić Zarząd Kół i Zarząd Uczelniany, który mógłby wówczas docierać bezpośrednio do każdego koła.

dzenia wewnątrz (przeludnienie w Domach nie stwarza warunków korzystnych, z drugiej jednak strony uczy harmonijnego współżycia nawet w warunkach odbiegających od idealnych).

Przed nami — wychowawcami stoi również poważne zadanie wyrabiania u młodzieży właściwego stosunku do mienia społecznego. W tej dziedzinie często niestety, zdarzają się wykroczenia. W walce z uchybieniami przyjdzie tu z pomocą krytyka, cięta satyra w „Błyskawicy”, czy w czasie imprez organizowanych w DS, dyskretny nadzór i wyjaśnianie. W jaskrawych wypadkach — usunięcie szkodnika ze zbiorowiska studenckiego. Takie wyeliminowanie winno jednak następować dopiero po wyczerpaniu wszelkich środków i po dokładnym przeanalizowaniu sprawy.

W pracy wychowawczej na terenie uczelni będziemy stosowali szereg form — te, które zdadzą egzamin życiowy przyjmie się jako stałe.

Kontakt z absolwentami, którzy pierwsi w tym roku opuszczają naszą uczelnię, poziom ich pracy zarówno zawodowej, jak i społecznej, opinia jaką sobie zdobyli — będą najlepszym sprawdzianem, czy drogi jakimi kroczyliśmy są dobre.

„Ciejszą podajcie mi zbroję“

(Dokończenie ze str. 1-ej)

zarówno na uczelni, jak i w Domach Studenta. Dotychczasowe świetlice odstraszały często młodzież nie tylko nudą i schematyzmem ubogiego repertuaru zajęć, ale również brzydotą urządzeń i dekoracji.

Świetlice wówczas stają się ośrodkiem życia studenckiego, kiedy atrakcyjność zajęć idzie w parze z estetyką wnętrza, kiedy ogół studentów bierze żywy, bezpośredni udział w różnych pracach.

Pierwsze udane w tym kierunku próby na już młodzież studencka poza sobą, spotkania, gawędy, wieczory autorskie, satyryczne i muzyczne, dyskusje na aktualne tematy — cieszą się powszechnym zainteresowaniem.

W najlepszym wszakże naukowym klimacie uczelni i przy najlepszym jej zorganizowaniu życiu kulturalnym nie dojrzyje młody człowiek do pełnej samodzielności życia i działania, jeśli zabierzemy młodoci prawo do osobistej radości, do pieśni i tańca, do sportu, humoru, dowcipu i śmiechu.

Jakaś niezrozumiała pruderia kała wielu organizacjom ZMP-owskim skrócić się, karcieć i brać za złe skłonność do tańca dla przyjemności wirowania chłopca z młotem dziewczyną. Uczelniane organizacje ZMP-owskie na zabawę taneczną z reguły nie zezwalały — trzeba było dawać na nie etykiety tzw. „wieczornic” ze specjalnym programem, z deklamacjami i recytacjami.

Wartość wychowawcza dobrych, artystycznych wieczornic jest bezsporna, ale bezsporna jest również potrzeba wyżywiania się młodych ludzi w tańcu.

Rzecz w tym, by wszystkim formom zabaw studenckich towarzyszyła atmosfera kulturalnej rozrywki, by ZMP-owska młodzież zwalczała pozostałości taniej drobnomieszczańskiej pseudokultury, by podjęła jak najspieszniej walkę o prawdziwą kulturę wyrastającą z szacunku dla ludzi pracy.

ROMAN CZERNECKI

Tam, gdzie umarła śmierć

W kinoteatrach Broadway'u przez długie tygodnie nie schodził z ekranów szeroko reklamowany film „z życia amerykańskich lotników”. Nosi on nazwę „Wysoka granica” i na przestrzeni kilku tysięcy metrów taśmy filmowej rozwija dzieje załogi bombowca, oczekującej z minuty na minutę rozkazu wystartowania za „żelazną kurtynę” z ładunkiem trzech bomb atomowych. Bomby te mają zostać zrzucone na „określone punkty strategiczne przeciwnika”, spośród których jednym jest punkt „Warsaw”.

Przed laty „Sonderkommando SS” przy pomocy miotaczy ognia burzyli z opętańczą skrupulatnością dom za domem i ulicę za ulicą Warszawy. Amerykańscy ideolodzy zimnej i gorącej wojny spoglądają dziś na swych poprzedników z wyrozumiałą wyższością króla gangsterów Al Capone dla kieszonkowego złodziejzaka: Czymże jest wasz Feuerwerfer wobec A — Bomb?

Trudno już dziś na murach warszawskich domów odnaleźć napisy w rodzaju: „Min niet, L-nit Uszakow”. Część zatarła się z czasem: dziesięć lat minęło od dnia, kiedy saperzy Armii — wyzwolicielki oczyszczali teren pod pokojowe życie stolicy. Inna część tych napisów zniknęła wraz z na wpół rozwalonymi kamienicami, parterowej Marszałkowskiej, gdy na zmianę przyszły im wielopiętrowe jasne gmachy. A jednak dzieło owego bezimiennego bohatera w szynelu o barwie świeżo zoranej ziemi i futrzanej „uszanec” z czerwoną gwiazdką — żywe jest po dziś dzień w każdym warszawskim domu i na każdej warszawskiej ulicy. Spawacz Alafioradow dziesięć lat temu biegł z pepeszą w dloni przez ulice Warszawy — dziś buduje podniebny Pałac. A iluż to ludzi radzieckich tworzy dziś obrabiarki, książki, samochody — dobra, z których korzystamy? Iwan Turkienicz, poległy na naszej ziemi dowódca Młodej Gwardii, mówił do szeregowca Wołodii: „Widzisz bracie, każdy ma swoją ziemię ojczystą. I wszyscy ludzie chcieliby o niej mówić z taką czułością jak my, wszyscy chcieliby czuć jej ciepło. I my właśnie to prawo przywracamy innym własną krwią. Teraz polskim robotnikom i chłopom, potem innym”. Cieszymy się tym prawem. Z czułością — być może często wstydliwie tłumioną — mówimy i myślimy o naszej ojczyźnie, o naszej zmartwychwstałej Warszawie.

I nawet — nie tylko my. Wraz z nami radują się cudem, który na nowo powołał naszą stolicę do życia — ludzie wielu narodów. „Kiedy ujrzałem po raz pierwszy Warszawę — pisał Ilya Erenburg — osłupiałem: był to polarny szkielec”. „Widziałem jak odbudowuje się Warszawę, — pisał w kilka lat później — widziałem życie, które ludzie budują i którego nie oddadzą”. Poeta włoski Salvatore di Benedetto w wierszu „Rosnącej Warszawie” mówi tak:

„Dla tego kto Cię ujrzał choć raz jeden
tak jak ja Cię ujrzałem, Warszawo,
kto wyczuł rytm Twego serca...
ten zawsze będzie Cię uwielbiał
miłością nową i wielką,
miasto zrujnowane
i wielokrotnie spalone,
które pnie się w górę
i dopiero się oddechając całego świata”.

I do prostych ludzi Ameryki dociera prawda o zwycięskim budowaniu. Choć jeszcze nadal karmi się ich dziełami w rodzaju filmu „Wysoka granica” — coraz głębiej pojmują możliwość i konieczność pokojowego współistnienia. Z ich zdaniem, z ich wolą — tendencji do panowania nad światem spod zawołania NATO — nie mogą się nie liczyć.

„Tam, gdzie umarła śmierć” nazwał Pablo Neruda swój poemat o Polsce, o Warszawie. Symbolem zwycięstwa człowieka, triumfu tworenia nad zniszczeniem, sił pokoju nad siłami wojny — jest dziś w oczach milionów ludzi nasza wolna stolica.

I dlatego najgłębszą nienawiść budzą w nas ci, którzy dziś za oceanem obliczają, ile bomb będzie w stanie zbурzyć z tak wielkim trudem wzniezione domy i ulice. Płonne są ich nadzieje i chybione rachuby. Nie po to ginęli przed dziesięć laty młodzi żołnierze, nie po to trudzili się nocami murarze, nie po to triumf odrodzenia krzepił serca przybłądów przybyłych z daleka — aby szaleńcy obrócić mieli w perzynę miasto pokoju. Na straży jej życia, rozkwitu, szczęścia stoją niezwykłe zastępy tych, którzy ją wyzwolili, tych, którzy ją odbudowali, tych, którzy ją ukochali.

J. S.

TADEUSZ IASZCZYK



STUDZIENKA

„Autobus” z „Kółkowic” przez „Śmietnik”, „Trze-pak” do „Studzienek” odchodzi za dwie minuty! Zamykajcie drzwi!

„Autobusy” były różne i rozmaicie wyglądali ich „kierowcy”. Przeważały zwykłe kuchenne fajerki, „ściągnięte” po kryjomu poza plecami matki. Takie pojazdy mieli i Kazik dozorca, aż do listopada chodzący boso, i Janek praczek Michałikowej, któremu pani higienistka w szkole kazala pić tran, i Felek Woźniak — ten, którego ojciec pracował na placu u Lilpoppa. Stasiak Kowalski dawniej posiadał kolo kupione w sklepie — piękne, malowane w kolorowe paski, ale od czasu, gdy ojca zwolnili od Gerlachy za udział w strajku — również biegał z fajerką, ponieważ to kolorowe kolo zabrał komornik razem z meblami z mieszkania.

Stefek, którego oboje rodzice pracowali w fabryce tytoniowej, i Bogdan Mańkowski — tych, co mieli sklep — byli posiadaczami takich właśnie „kupnych”, kolorowych kół jakie dawniej miał Stasiak Kowalski.

„Dworzec autobusowy Kółkowice” znajdował się w kacie podwórza pod parkanem. Mieścił się tam wygodnie, zrobione z darni, ławki dla „pasażerów”, a wyżej na deskach parkanu wymalowany pastą do podłogi napis: „STACJA KULKOWICE”.

Nad stacją „Śmietnik” i „Trze-pak” nie warto się rozwozić. To były tylko przystanki warunkowe. Przeważnie nie zatrzymywaliśmy się przy nich ze zrozumiałych względów: Śmietnik cuchnął przeziębieniem, zaś pod trzepakiem można było dostać się w energiczne, a predkie ręce którejś z matek.

Najpiękniejsza na trasie była nasza stacja docelowa — „Studzienki”. Była to studnia artezyjska, obudowana w kształcie niedużej pompy. Wystarczyło odkręcić z boku specjalny kurek, by ze studzienki wytrysnął strumień czystej, piekielnie zimnej wody. Mama mówiła, że dawniej, gdy jeszcze w naszym domu nie było kanalizacji, wszyscy przychodzili tutaj po wodę.

Dla nas studzienka była cudem techniki i najwspanialszą w Warszawie stacją benzynową. Kiedyś postanowiliśmy wypisać nazwę tej stacji. Felek Woźniak zwał się ojcu statystyk przetrwał i posługując się dodatkowo ciężkim kamieniem usiłowałam wykuć na betonowej podstawie studzienki niezdarne litery.

Praca była niezmiernie żmudna, porzuciłam ją więc niebawem, zwłaszcza, że zainteresowała nas w międzyczasie sprawa ojca Staska, po którego przyszli „gliny” i zabrali do Berezy. Wyrzłiśmy tylko

pięć liter STUDZ... i tak już pozostało.

Wojna przeszła przez naszą Wolę jak apokaliptyczny huragan i rozrzucała mieszkańców podwórka niby zeschłe listowie.

W pamiętnym wrześniu pod gruzami rozbitej bombą piwnicy został Bogdan Mańkowski wraz z małą siostrzyczką i otyłą matką.

Stasiak Kowalski, którego ojciec, jak blade, przeraźliwie chude widmo zjawiał się u nas jednej jesiennej nocy w pierwszych tygodniach okupacji, poszedł razem z nim do lasu. Janek praczek Michałikowej pojechał z matką na roboty do Niemiec.

Powstanie wymiotło resztę. Felek Woźniak wstąpił do AL i zginął na Starówce. Stefka dosięgła kula na barykadzie, walczył w batalionie „Parasol”.

W ciepły dzień kwietnia 1945 roku siedział od Włoch do Śródmieścia, wracając z obozu pod Berlinem. Nie mogłem poznać Woli. To co zostało z mojej dzielnicy było ogromnym ponurym cmentarzem. Każdy stawiany krok kłut w serce śmiertelną martwością i pustką.

Wiedziony chyba tym instynktem, który pozwala zwierzęciu odnaleźć miejsce, skąd go zabrano, znalazłem się przed pogorzelskim, gdzie upłynął mi czas dzieciństwa.

Sterczały tu jakieś szkielety spalonych łózek, skorupy garnków, kikutów zwęglonych belek, a spośród nich wyrastały już kępki pierwszorzędnej anemicznej trawy.

Potrąciłem butem kawał zardzewiałej blachy i potknąłem się o wyzierającą spod gruzu szerniałą rurę... studzienki — naszej studzienki...

Upalne czerwcowe popołudnie 195... roku. Do gabinetu profesorskiego wraz z lekkimi podmuchami wiatru wsącza się słodkawy zapach przekwitających akacji. Wzrok utkwiony w dloni profesora, który wpisuje do indeksu notę ostatniego egzaminu. Nerwowe spojrzenie przenosi się na twarz starego, poważnego człowieka. Ta twarz się uśmiecha. Wstajemy obaj i profesor ścisną mi rękę.

Przed drzwiami czekają rozgorączkowani koledzy i przede wszystkim Danuta.

Jak dobrze przeżyć razem przetrzennym Krakowskim Przedmieściem w stronę trasy W—Z nie mówią słowa, by nie spłoszyć uroku chwili. Na dole pchamy się do zatłoczonego tramwaju i dopiero gdzieś koło Żelaznej Danuta pyta:

— Gdzie ty mnie wieszysz?

— Na Wolę — odpowiadam — w takim dniu chcę być w miejscu mego dzieciństwa. — Danuta rozumie.

I znów nie mogłem odnaleźć swojej ulicy.

Młynów I czy Młynów II? Świeże ceglasto-czerwone jeszcze bloki. Tu okna zachłapanie wapnem, a tam na parapecie doniczki z różowo kwitnącymi pelargoniami. Tu spoza tej firanki — przymknięty oczy i znów otwórz — a ujrzyć w oknie zmęczoną, lecz przecież jak zawsze uśmiechniętą twarz matki. I jakżeż żal, że to tylko złudzenie!

Danuta szarpnęła mi dłoń — po prostu!

Między nowymi blokami szeroki plac pokryty świeżymi prostokątami trawników. Środkiem — alejki wyspane czarnym żwirnym, po bokach ławki, a na nich wiele matek

— Co tak czy nie? — odparł zdziwiony.

— No, pijak zakłóca spokój, czy nie?

— Może i zakłóca.

— A widzicie! Zakłócałobyście spokój! I raz dwa skoczyłobyście na „Błyskawicę”. Pomyślcie troszkę, kolego, to, żeście akurat nie byli utenczas obecni, to przypadek, taki splot przypadków, węzeł okoliczności. I czemu, powiedzcie, czemu chcecie zawdzięczać, żeście nie stali się chuliganem? Przypadkowi! Tak, przypadkowi. Brakowi okazji. I wy, człowiek uświadomiony politycznie, zetempowiec, materialista,

POKRZYWI

— Kolego, posłuchajcie, nie byliście w pokoju. Tak?

— Tak!

— Nie piliście. Prawda?

— Prawda!

— Nie piliście, bo nie byliście? Tak?

— Co, tak? Nie byłem i nie pitem!

— Spokojnie, spokojnie, po co nerwy. Gdybyście byli obecni, to byście pili. Co?

— Nie wiem, chyba nie.

— Jak to nie wiecie? Ja, kolego, na waszym miejscu, a raczej w waszym pokoju, gdyby przy mnie pito, to też bym pił. Nie zapierajcie się, nie ma się czego wstydić, pili byście i basta! Znam się na psychologii. A gdybyście pili, nawet mało, to byście się upili, tym bardziej, że macie słabą, nie przyzwyczajoną do alkoholu głowę — przecież nie jesteście pijakami, sami oświadczyliście, zresztą ja to widzę po was. Będąc pijany, zakłócałobyście spokój. Tak czy nie?

wykręcać się przypadkiem? Nieładnie! O, brzydko! Nie chcę się nawet pytać, w jakim celu jeździć tak co tydzień do domu. Dalej, nie chcę stwierdzić, iż macie, widocznie, bardzo blisko do domu, a więc, że wam mieszkanie w DS niepotrzebne... Kolego, wyobraźcie sobie to wszystko! Ale cóż, niestety, nie macie ani krzty fantazji...

JANUSZ WASYLKOWSKI

W karnawałowa noc

Rozkolyśał się wszechświat stateczny; Rowiś z Wenus zatańczył oberka, A księżyc hulaka serdeczny Na gwiazdistych powiesił się szelkach.

Rozśpiewały się mury i bramy, Mknę melodia od drzewa do drzewa. — Nie mów luba, że jestem pijany I nie daj się na mnie, nie gniewaj...

Świat piękny jest, piękny — powiedział I tulisz się do mnie z ufnością. Ktoś — figlarz zapewne nie lada Dziś wino nam zmieszka z miłością.

O FANTAZJI

WIESŁAW MALINOWSKI

Wacek, przekroczywszy próg pokoju, zastał istną naradę wojenną, wszyscy siedzieli u brani, przejeżdżali — pewnie gorąco dyskutowali, albo złączyli ich jakaś wspólna trapiąca troska.

— Wiesz, wiesz na „Błyskawicę”? My też! — przywitali go tak nagle, jakby tylko na niego czekali. Nie chciało mu się nawet odpowiadać. Ileż to już razy różne takie potworne nowinki, jak: „Sprawdzali na wykładach!”, „Repetitorium jutro!”, „Komisja dyscyplinarna!”, „Widzieliśmy Bożenkę w kinie... z jakimś facetem!” — okazywały się najzwyklejszą „podpuchą”.

Nie dziwnego, oczywiście, że u dał zaciekawienie tylko dla zrobienia im przyjemności: — „Jak to na „Błyskawicę”?

— Tak, wisimy jako chuligani, pijacy i do „łufki” z nimi itp. — krzyknęli skwapliwie. Trochę się pośmiali. On nie wierzył.

— Zejdź na dół, przekonasz się!

— Na kawał ze schodzeniem się! — już jestem za stary. Mnie nie nabierzecie.

Wreszcie, aby mógł spokojnie usnąć — u dał, że im wierzy. Już na łóżku przypomniał sobie różne wypadki z dnia. Czyżby w ich słowach coś się rzeczywiście kryło? Boć przecież dzisiaj „akoś” dziwnie zachowywali się przy nim aktywiści — szepotali na ucho, stronili. Kazek, facet lubiący poszumieć, uśmiechał się do niego wyrozumiale i porozumiewawczo. Ejże, coś w tym wszystkim jest! Ufny jednak w mądrość Francuzów, że noc przynosi najlepszą radę, pospieszył na spotkanie jej — czyli usnął.

Rano, niepewny jednak, zbliżył się do „Błyskawicy”. Spojrzał!... Ech, moje nazwisko! — krzyknął bezgłośnie, czyli w swym wnętrzu. Rysunek przedstawiał pole (a raczej pokój) pijatyki, był i wierszyk i hasło arcygadane „Precz z huli-ganami!” (Cierpliwości polonisto, rzeczywiście przez „h”). Przeczytał jeszcze dalsze nazwiska współmiesz-

kańców. Ho, ho! Głupia sprawa. Chuligan? Pił i szalał? 13 listopada! — Kiedy to było? W sobotę! Zaraz. Tak. W sobotę. W Stanisław! — Toć ja przecież zawsze w piątek jadę do domu na niedzielę! Nie mogłem być w czasie tej „pijatyki”. Głupstwo, to pomyłka. Wyjaśnijcie, załatwi się!

Współmieszkańcy też sobie przypomnieli, że troszeczkę wypili na imieniny Stasia oraz że jego nie było.

Na wykładach koledzy mu różnie doradzali: — „Co ci zależy, niech wiś, sami zdejmaj!”

— Tak, zdejmaj, ale kiedy? Na pewno ta „Błyskawica” będzie wiś tak długo, że jeszcze moje dzieci, a kto wie, czy i nie wnuki — już jako studenci — zdążą przeczytać sobie jak to się ich dziadek zabawił. Wiecie, jak często na UJ zmieniają gazetki! Ładnie będą wyglądać przed wnukami!

Znajomy prawnik prawie rozstrzygnął sprawę: — Znamy się dobrze — wiem, że nie pijesz, nie je-

steś chuliganem, wiesz niestuszenie i to cię boli. Ja ci daradzę: upij się, zrób szum, potem nie będziesz się więcej martwić, że wiesz niestuszenie. Zastużysz już na słuszne wieszanie.

To wydało mu się najlogiczniejsze. Nie wiadomo dlaczego nie skorzystał z tej rady.

Wieczorem z kolegami z pokoju udał się do przewodniczącego Rady Mieszkańców. Koledzy też się oburzyli: przecież raz sobie urządzili imieniny, trochę wypili i zaraz z tego powodu nazwać ich chuliganami! Bez głębszego poznania i zastanowienia. Wacek wyłożył swoją sprawę, że nie był utenczas nie tylko w pokoju, ale nawet w woj. krakowskim. Koledzy potwierdzili jego alibi. Radośnie wyjaśnili, że się wszystko pięknie myślało.

Kol. Kida zawałał dyżurnego, który podał nazwiska. Ten wyjaśnił, że 13-go był hałas w pokoju, więc spisał nazwiska mieszkańców z wizytówek na drzwiach. Wydru-



Wyzwolenie Marcina

Dzień był mroźny, pogodny. Kiedy Marcin szedł trasą swojej codziennej wędrówki było jeszcze bardzo wcześnie, śnieg skrzypiał pod nogami. Ulice, a właściwie uliczki S. — tej małej podwarszawskiej miejscowości o drewnianych domkach ukrytych wśród sosnowego lasu — zmieniły swój wygląd w ciągu ostatnich miesięcy. Oto plac przed dworcem kolejki dojazdowej, która w każdą niedzielę lata przywoziła tłumy spragnionych powietrza, stał się targowiskiem. Jakies stare lachy wraz z pięknymi, srebrnymi lisami były tu przedmiotem krzykliwych transakcji.

Drewniane budki — bary, w których podstawowe menu stanowił bimbler i bigos, wyrosły nagle. Obok jednej z nich Marcin do niedawna spotykał znanego skrzypka i pedagoga prof. Kaniewskiego. Wysoki, przgarbiony, w zniszczonym palciu, od rana do późnego wieczora grał na swoich cudem ociałych i wyniesionych z Warszawy skrzypcach. Został zaangażowany przez właściciela budki, ale ze względu na szczupłość miejsca wewnątrz musiał pozostawać przed wejściem i umiatając swą grą pijaństwa różnych specjalistów od handlowych transakcji, służył jednocześnie jako pewnego rodzaju reklama tego lokalu o szumnej nazwie „Bar Europejski”.

Na widok Marcina opuszczał skrzypce.

— Dzień dobry panie profesorze — mówił Marcin i ścisnął mu dłoń w śmiesznej rękawiczkę o poucinanych palcach.

— Ma pan jakieś wiadomości? — profesor nieodmiennie rozpoczynał ich kilkuminutową pogawędkę i kiedy Marcin robił tylko nieokreślony ruch głową zaraz dodawał:

— Niech się pan nie martwi. To już niedługo potrawa. Był tu wczoraj jakiś gestapowiec, upił się i kazał mi grać Czajkowskiego. Pan rozumie? Czajkowskiego! A potem wykrzykiwał, że wszystko „kaput”. Oho, już oni tam wiedzą.

Osoby występujące w rewelacyjnych opowiadaniach profesora zmieniały się. Czasami był to gestapowiec, kiedy indziej jakiś szwindlujący z Niemcami Polak albo volksdeutsch, ale sens ich pozostawał ten sam. Optymizm profesora Kaniewskiego był bardzo zaradliwy. Często Marcin szedł dalej jakiś uspokojony, mimo że właściwie nie dowiedział się niczego konkretnego.

Kiedys wieczorem, gdy włókł się zmęczony do domu, ujrzał opartego o budkę profesora. Zbliżył się, chciał coś powiedzieć, gdy dostrzegł, jak przez plecy profesora co chwila przebiega gwałtowne drżenie. Starowina płakał. Oparty o ścianę, która oddzielała go od rozkrzyżowanego,

pijackiego wnętrza „Baru Europejskiego”, z opuszczoną ze skrzypcami jedną ręką, z drugą przy twarzy, cicho szlochał. Marcin poczuł nagły skurcz w sercu, ale nigdy później nie umiał zdać sobie sprawy dlaczego nie podeszedł i nie próbował go pocieszyć. Dopiero rano następnego dnia już z daleka machał ręką do profesora i natychmiast po powitaniu oznajmił:

— Mam wiadomości. Silne uderzenie szykuje się pod Warką. Ruszą lada chwila. Niemcy widzą swoją klęskę, tylko jeszcze nadrabiają minami.

— Co pan mówi, co pan mówi? — powtarzał uradowany muzyk. Na jego dobrą, starą twarz wypłynął rumieniec, a oczy zaczęły błyszczeć za okularami.

O śmierci profesora Kaniewskiego dowiedział się Marcin przed paroma dniami. Jakis pijany gestapowiec wciągnął go do „Baru Europejskiego”, rozkazał mu grać i tańczyć. Profesor wyprostował się i ostro odpowiedział dręczycielowi. Niemcowi już mocno kurzyło się ze łba. Podbiegł i na odlew lunął starca w twarz. Sypnęło się szkło z taniach, w drut oprawnych okularów.

— Du błóder Hund! Du błóder Hund! — powtarzał skrzypek i po omacku szedł do wyjścia z szeroko otwartymi oczami krótkowidza.

Niemiec porwał się za nim, wyszarpnął z kabury pistolet. Dwa wystrzały odbiły się szerokim echem, które kołując w ciemności wróciło przed „Bar Europejski”. U wejścia — na jasnej plamie śniegu — leżał z rozrzuconymi rękami stary człowiek.

Już następnego dnia Marcin w Komitecie RGO wolno, niemal kaligraficznie wpisywał personalię profesora Kaniewskiego do grubej książki zaginionych lub zmarłych, których rodziny należy odszukać i zawiadomić. Na tym polegało ówczesne zajęcie Marcina. Przyjął je chętnie i pracował od rana do wieczora. Wszelka bezczynność była dla niego w tym czasie nie do zniesienia. Wspomnienia tragicznych losów ludzi bliskich i chwil, których już nigdy nie wymaże zupełnie z pamięci, były zbyt świeże.

Marcin minął „Bar Europejski”, szedł szybko. Mała miejscowość, która nagle stała się wielkim skupiskiem ludzi bezdomnych, budziła się do swojego codziennego życia. Na placu pojawiło się parę osób, jakaś kobieta rozkładała wprost na ziemi wielką plandekę, a na niej sterty odzieży. W przeciwnym końcu, jak codziennie, formował się oddział ludzi, którzy uzbrojeni w łopaty wyruszali na pobliskie pola budować rowy i umocnienia dla zagrożonych panów świata.

W biurze RGO nastroj normalny. Pani Marysia, żona znanego przemysłowca z Warszawy zgrywająca się na filantropkę, znowu opowiadała jakieś swoje straszne przeżycia, zupełnie jakby tego rodzaju historie były objawieniem dla słuchaczy. Rzekomo zdenerwowana przypomnieniem, chwyciła Marcina mocno, może za mocno pod ramię, oparła się na nim całym ciężarem. Od dawna mizdrzyła się do niego. Marcin jej nie cierpiał, było mu wstętnie to kobieciątko o płaskiej duszyczce i słodkich, naiwnych oczach.

Koło dziesiątej wszyscy przzerwali nagle pracę, unieśli głowy. Marcin przestał skrzypieć swoim piórem po papierze, uciekł nawet gwizd jednookiego Józefa — woźnego, który zamiatał sąsiedni pokój. W ciemności słychać było gwałtowne, szybko następujące po sobie wybuchy. Nie były to salwy ciężkiej artylerii, do których przyzwyczaili się wszyscy. To była kanonada lżejszych dział, wybuchy dźwięczne, o metalicznym pogłosie. Marcin podbiegł do okna. W pierwszej chwili myślał, że to obrona przeciwlotnicza i bładził wzrokiem po niebie. Nagle, w odległości kilkudziesięciu metrów, tam, gdzie przebiegała szosa, ujrzał, skłębioną, zwartą falę złożoną z furmanek, wyładowanych bryczek, między którymi co chwila usiłowały się przecisnąć wojskowe samochody i małe, zgrabne auta osobowe.

Marcin znowu poczuł na swoim ramieniu czyjąś zaciśniętą rękę. Była to pani Marysia.

— Panie Marcinie, a... a jeżeli oni naprawdę przyjdą? — Jej oczy były szeroko otwarte, wystraszone. Stała się jakaś brzydka i stara. Marcinowi zrobiło jej się żal. Wybąkał jakieś słowa, nie zdawał sobie nawet sprawy jakiego. Walilo mu serce, ale jeszcze nie wierzył. Kanonada zbliżała się, w oknach przebiegały bryczki.

Marcin nie odchodził od okna. Pani Marysia gdzieś znikła. Po przeciwnej stronie ulicy mały oddziałek — może ośmiu, może dziesięciu Niemców w hełmach, z pistoletami maszynowymi w rękach, pośpiesznie zmierzał w kierunku szpitala wojskowego. Na szosie ruch ustał. Czasami przemknął jeszcze samochód albo furmanka, któ-

rej woźnica smagał bez przerwy konie.

Minęło dosłownie kilka minut. Marcin tkwił uczepiony framugi okna. Zaszło mu w gardle, głośno polykał ślinę. Wtem głośny wybuch targnął domem. Bomby? — Marcin już chciał odejść od okna, gdy nagle zza zakrętu z chrzęstem wytoczył się czołg, ogromny zatarasował sobą całą ulicę. Stanął. Czujnie okręciła się wieżyczka i wtedy, dopiero wtedy Marcin dostrzegł pięcioramioną, czerwoną gwiazdę. Obok czołgu wyrosły ruchliwe sylwetki szaro ubranych żołnierzy. Otworzyły się drzwi domów. Pojawili się ludzie głośno coś mówiąc i krzycząc. Marcin pobiegł. Chwycił jeszcze płaszcz, naciągał go na schodach. Będąc w bramie widział, jak z drugiej strony wyjechał następny czołg. Miętko kładł mu się pod gąsienice kolejasty plot otaczający niemiecki szpital.

Na ulicy było już rojno i gwaro. Marcin podbiegł do żołnierza w szarym mundurze i wielkiej futrzanej czapce z wpętą czerwoną gwiazdą. Otaczała go gromada rozśmieszonych i zapłakanych ludzi. Jakis człowiek w tranwajarskiej czapce częstował żołnierza papierosami. Miał poczerwieniałą twarz, chwycił Marcina za ramię.

— Już oni im pokażą, ja panu to mówię! — powtarzał w kółko.

Marcin drżącymi rękami zapalał papierosa. Zbliżył się do żołnierza, natrętnie pytanie cisnął mu się na usta. Nie miał odwagi zapytać. Wtem żołnierz sam wykrzyknął.

— A Warszawa wolna, germańców już tam niet. Z Warszawy my przyjechali. — Staral się mówić po polsku, zaciągał i zatraczał rosyjskimi słowami.

— Warszawa wolna, Warszawa wolna — powtarzał Marcin jakby nie mogąc pojąć sensu tych słów. Nagle ludzie pobiegli coś wykrzykując. To jakiś mały chłopak przyniósł wiadomość, że na szosie stoi Polskie Wojsko. Marcin biegł razem z innymi. Wszyscy krzyczeli. Dopiero po chwili Marcin uświadomił sobie, że on dalej krzyczy — Warszawa wolna!

Na szosie dwa samochody ciężarowe. W nich ludzie w zielonych mundurach, rogatywkach z orzełkami. Marcin czuł jak się z nim dzieje coś dziwnego. Usiadł na zwałonym drzewie. Bezmyślnie wpatrywał się w rozrodzanych ludzi, wojsko, samochody. Chyba po godzinie dopiero jakby się ocknął. „Warszawa wolna” — pomyślał. Wstał, otrząsał ze śniegu płaszcz, wygramolił się na szosę i ruszył prosto przed siebie. Rzeczy, które zostawił u ludzi, z których gościny korzystał, nie miały znaczenia, ani żadnej wartości. Odbierze je kiedyś, albo i nie odbierze wcale. Wszystko jedno. Szedł, omijał porożędzane gąsienicami czołgów trupy niemieckich żołnierzy, jakieś zabite konie z rozdętymi brzuchami, porozbijane wozy. Niebo, rano pogodne, zachmurzyło się, szarzało. Czasami mijaly Marcina przejeżdżające samochody. Jadący na nich coś krzyczeli i machali do niego rękami. Na jednym z tych wielkich wozów razem z wojskiem jechała tęga kobieta. Na pewno ją znał, tylko nie mógł sobie teraz przypomnieć kto to. Był już zmęczony, bardzo zmęczony. Ale szedł i szedł ciągle naprzód, jakby jedynie tam, w wypalonym, opustoszałym mieście mógł znaleźć odpoczynek.



Rys Jerzy Cwiertnia

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Warszawa zgruzowstała

Ze wschodu wstęgami dróg szła Armia. Warszawę niszczył wróg, Warszawę pożar ogarniał.

Domy stały lat dwieście i pięćset lat. Padło Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat.

Chwała ruinom fabryk, mostów i gmachów. Droga czynom: Trasa Wschód — Zachód.

Buldożerem przez te cegły krwawo! Wzoraż: plan. Dziś: wykonanie. Odbudujemy Warszawę, nowa Warszawa powstanie.

— Królu Zygmuncie, jak się macie, co widać z waszej kolumny? — Widać życie na Mariensztacie i jestem dumny.

— Królu Zygmuncie, a dalej, co tam widać na wprost? — Zimą, w mrozie stawali Śląsko - Dąbrowski most.

— Królu Zygmuncie, a was tam postawił jak się należy? — Stoję sobie i basta, miecz mój wieki odmierza.

Chciała jechać Trasa Historia, tramwajem numer 30, a konduktor — a to historia! — powiedział, że się nie zmieści.

Bo tu wszystko powyżej normy, rekordy, trójki murarskie... Stara Historia wyszła z formy, nie chciałaby skrócić karku.

Ale cicho, cicho: nadchodził, ażeby ujrzyć nasz wyczyn, ten, który grody grodzi, Wielki Budowniczy.

Młot i kielnię murarską niesie, idzie na przelaj przez miasta, każdy krok jego — stulecie, przyszłość przed nim zorzą urasta.

Mówi: „Dość leż na ruinach”. Wskazuje: „Dalej! Dalej! Oto Warszawa inna. Oto się rodzi Socjalizm”.

1949 r.

ANDRZEJ BRAUN

17 stycznia 1945

Rzęziły auta poprzez zaspę. Smar czernił śnieg. Blask w oczy parzył. Ktoś rzekł: — „Skończyły się już wasze czasy — tu naród będzie gospodarzyć.”

Zajadli z gniewu, z trudu, z troski — wiodł ich wśród dymu i w taśm chrzęście Waryńskich głos i głos Dąbrowskich. Na karabinach głośnie pięści.

Wspomnę ten dzień. I mróz, gdy buty z grudy krzesaly nowe gwiazdy — i pierwszy życia oddech równy i świat tak dziwnie od leż jasny.

Mój ślepy byt zyskał czas przyszły, jak lampa iskrą zapalona, kiedy dwa brzegi Wisły padły sobie w ramiona.

1950 r.

otwarty do kolegi z UW

MAREK ZAKRZEWSKI

rodzinnej, to mój dziadek, pałac na kole. Ubranie trochę dziś śmieszne swoim krojem, ale porządne, wyprasowane; pod brodą, o zgrozo! MUSZKA! Dziś stara poczciwa muszka, duma naszych dziadków, wyszła już z użycia. Czasem tylko wyjęta z rodzinnego lamusa zdobi koszulę syna czy wnuka na karnawałowej zabawie. Niech sobie zdobi,

wieka na podstawie jego wyglądu zewnętrznego. Bardzo niebezpieczne!

Dziewczyna jest młoda, cieszy się życiem, chce kochać i chce być kochana. Takie jest prawo niepisane lecz wieczne. Pragnie się podobać. Takie jest prawo niepisane lecz wieczne. Dziewczyna oświeśle szuka nowych sposobów pokazania się

własnych dzieci kiedy wróci z ważnej konferencji Wasza żona — znana działaczka kobieca i aktywistka wielu organizacji — kiedy zobaczycie na jej głowie nowy kapelus, a ona spozstrzeże Wasze spojrzeń, spłoni się cała, szczęśliwa, i szepnie: „Musiałam! I u fryzjera też dzisiaj byłam. Jak ci się podoba moje nowe uczesanie?” I będzie wtedy bardzo, ale to bardzo szczęśliwa.

To prawda, teraz nie ma czasu na zbijanie bąków. Trzeba się uczyć i szybko kończyć studia. Nie ma czasu na zbijanie bąków, ale są chwile na zabawę. Prawdziwa, nieprzymuszona, wesola, swobodna zabawa. Żeby chłopiec mógł powiedzieć dziewczynie, że jej włosy są miękkie jak puch, a oczy błyszczą jak gwiazdy. Żeby dziewczyna mogła oprzeć się o muskularne ramię chłopca i powiedzieć: „Z tobą miło czas płynię”.

Niech się oboje bawią, niech im będzie dobrze przez te godziny, kiedy orkiestra gra. Jutro im będzie jeszcze lepiej, bo wrócą do nauki z miłymi wspomnieniami.

Kiedyś, jeszcze nie tak dawno temu, gdy siały balową płynęły dźwięki walca, cnotliwe mamy zabierały córki do domu: „Co, tańczyć takie zbierzeństwo!” Ale walc idący w parze z nowym wówczas dniem zepchnął w mrok zapomnienia menuety, kontredansy i polonezy.

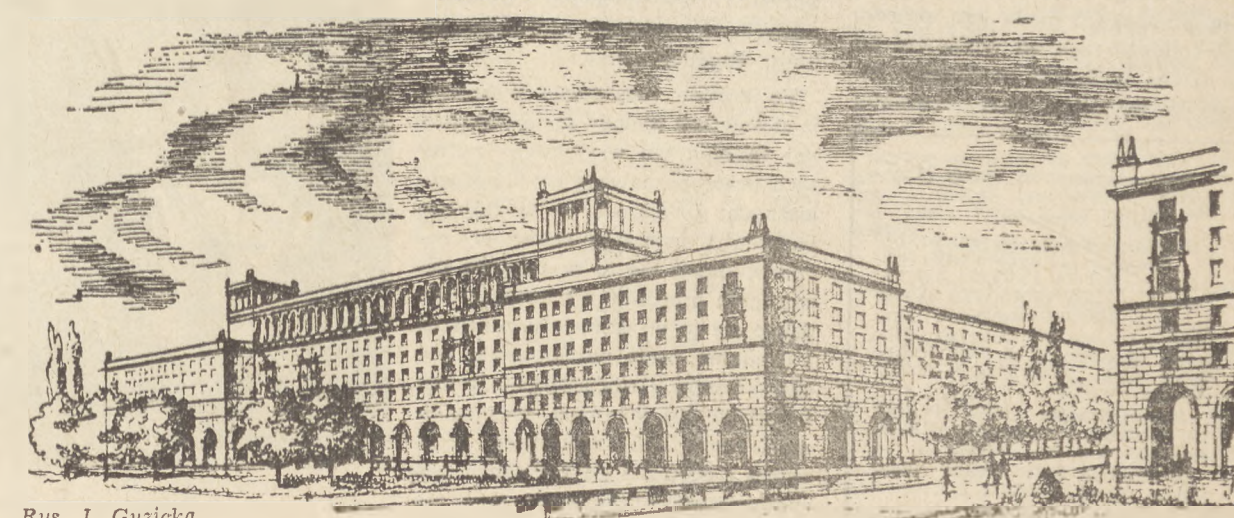
Nie bądźmy cnotliwymi „mamami”.

Niech się bawi chłopiec i dziewczyna. On, miły blondyn, starannie ubrany na ten niezapomniany wieczór, wysoko trzyma brodę, żeby ona zobaczyła jego nową „starą” muszkę, wyciągniętą z tatczyniej szuflady. Ona, brązowooka, zgrabna jak sarna, potrząsa krótko przystawioną czupryną — specjalnie na dziś zrobiła sobie to uczesanie. Chyba MU się podoba, i on jej... I jest im dobrze...
piękniejszą, powabniejszą. I takie też jest prawo.
Dziewczyna poszła więc na film „Rzym, godzina jedenasta”. Poszła i wróciła podniecona: Och, miałem takie uczesanie jak Simone! JEMU się to będzie na pewno podobało, może on WRESZCIE się zdecyduje.
I dzisiaj dziewczyna obnosi fryzurę „à la Simone”, a ta cząstka jej, która pozostanie po wieki kobietą i tylko kobietą, czuje się szczęśliwsza. Niech się czuje! Za złotych piętnaście, które wziął fryzjer.
Kolego! Kiedy za Wami pozostał kurs magisterski, kiedy zasiadacie wieczorem w domu w gronie



Chłopakowi w niej dobrze i dziewczynie się podoba, i to tak po męsku, słowem — ładnie wygląda.

Kiedyś, bardzo dawno temu, kiedy miałem cztery może pięć lat, ojciec wskazał w mojej obecności matkę na ulicy jakiegoś mężczyznę i powiedział: „To znany socjalista, taki a taki...” Przyjrzałem się z zaciekawieniem nowemu gatunkowi człowieka — „socjaliście”. Hm, całkiem taki sam jak inni ludzie. Mignęły mi jego skarpetki. Były w duży kratę. Od tego czasu, przez wiele następnych lat, każdy człowiek w skarpetkach w kratę był dla mnie socjalistą — niebezpieczne jest uogólnianie charakteru, wartości czło-



Wlot do osiedla Młynów V od ul. Górczewskiej. Wg projektu inż. architektów J. Guzikiej i M. Tełmajera

BOGDAN SUCHODOLSKI
członek-korespondent PAN

Prof. dr WŁODZIMIERZ ZONN

Nowa rzeczywistość — nowa nauka

W jak konkretnie sposób można wykazać wyższość materialistycznej metody naukowej nad idealistyczną w naukach pedagogicznych — oto pytanie, z którym wielu zwraca się do mnie. Odpowiedź na to pytanie może być wieloraka, ponieważ nauki pedagogiczne obejmują — metodologicznie biorąc — wiele różnych zespołów zagadnień.

Mozna wskazać na to, jak metoda materialistyczna pozwala prawidłowo analizować problematykę celów wychowania i to zarówno w studiach nad historią wychowania, jak i w studiach nad współczesnością. Idealizm zmierzał do ustalenia niezmiennych zadań wychowawczych w oderwaniu od historycznego procesu. Metoda materialistyczna pozwala rozstrzygnąć cele wychowania minionych epok, ujawniając ich łączność z rozwojem sił wytwórczych i z etapami walki klasowej. Dzięki temu możemy zrozumieć, co w konkretnych warunkach dziejowych oznaczało rzeczywistość np. program wykształcenia ogólnego, lub jaki klasowy sens miało hasło kształcenia osobowości, lub jakim interesom służyło naprawdę burżuazyjne hasło wychowania narodowego.

Pojmujemy, iż burżuazyjne pojęcie wykształcenia ogólnego, oparte w wielkiej mierze na znajomości języków starożytnych, było barierą oddzielającą klasy panujące od mas ludowych, dla których tak rozumiane wykształcenie stawało się zupełnie nieosiągalne; pojmujemy, iż zasada kształcenia osobowości miała odwracać uwagę od palących problemów społecznych i toczącej się walki klasowej, kierować ku oderwanemu od życia prywatnym upodobaniom; pojmujemy, iż burżuazyjne hasło wychowania narodowego spełniało solidarystyczną rolę maskowania realnych konfliktów klasowych na rzecz tzw. dobra ojczyzny, które było naprawdę tylko dobrem klas posiadających.

Dzięki zastosowaniu materialistycznej metody zbliżamy się do poprawnego zrozumienia historycznego procesu formułowania celów wychowania, do usunięcia licznych mistyfikacji w tym zakresie, a tym samym i do głębszego poznania teraźniejszości. Określenie dzisiejszych zadań wychowania jest bardzo trudną sprawą, wymagającą przełożenia na język pedagogicznych możliwości procesu socjalistycznego budownictwa, narastających doświadczeń powstawania nowego człowieka, rosnących zadań związanych z planowaniem gospodarczym. Idealistyczne metody dedukowania celów wychowania z tzw. wartości kultury, z tzw. strukturalnych praw osobowości itp. do niczego przydać się nie mogą.

Mozna — po wtóre — wskazać, jak metoda materialistyczna pozwala prawidłowo analizować procesy wychowania.

Głównym założeniem idealistycznych metod badania procesów wychowawczych było, iż procesy te realizują właściwości, które są już z góry wyznaczone ludzkiej naturze. Sposób tego wyznaczania pojmowano różnorodnie: jedni rozumieli je biologicznie czy psychologicznie jako tzw. wrodzone zdolności, wrodzony temperament, wrodzoną inteligencję, inni pojmowali je raczej socjologicznie jako narzucony przez środowisko typ życia. Badanie procesów wychowawczych stawało się w tych warunkach badaniem procesu stawiania się tego, co właściwie już od dawna w formie możliwości istniało w jednostce. Taki charakter

miało badanie myślenia, uzdolnień, inteligencji, podobny charakter miały badania tzw. typów społecznych lub też badania psychologii indywidualnej i psychoanalizy.

Metoda materialistyczna ujmuje zupełnie inaczej procesy wychowawcze. Pozwala nam wnikać w proces kształtowania się człowieka w jego działalności, w proces stawiania się w nim czegoś naprawdę nowego. Metoda materialistyczna ukazuje wzajemną łączność wielu czynników kształtujących człowieka, a równocześnie ukazuje nam rolę, jaką jego własna świadomość i wola mają w procesie tego kształtowania.

Czy nie istnieją właściwości wrodzone? Oczywiście istnieją, ale nie wyznaczają one fatalistycznie drogi życia i działania jednostki; od celowego wychowania i od niej samej zależy, co i jak z tych elementów będzie zbudowane. Czy środowisko nie ma na nas wpływu? Oczywiście ma, ale wpływ ten nie formuje nas fatalistycznie; od celowego wychowania, od naszej świadomości i naszego działania a zależy, jak będzie na nas oddziaływać środowisko. Dla idealizmu proces stawiania się ludzi był tylko przechodzeniem utajonych możliwości w rzeczywistość; dla nas proces stawiania się jest procesem dorastania człowieka do wciąż nowych zadań, procesem, który się dokonuje w toku pracy wychowawczej i własnej działalności ludzi.

Metoda idealistyczna coraz szczerzej przesłaniała nam rzeczywistość wklajając badania pedagogiczne w siła fałszywych i urojonych pojęć oraz teorii takich, jak wrodzona inteligencja, jak życiowy plan jednostki mający się — rzekomo — trwale formować w pierwszym roku życia; jak mechanizm popędów przystosowania, znaczenia i rozczarowania, wyznaczający — rzekomo — całe życie człowieka itp. Metoda materialistyczna pozwala nam natomiast wnikać w konkretne i rzeczywiste procesy kształtowania się człowieka w konkretnych warunkach socjalistycznego budownictwa, w konkretnych warunkach wychowawczego oddziaływania, w konkretnych warunkach spełnianych przez ludzi zadań.

Mozna — po trzecie — wskazać jak metoda materialistyczna pozwala nam formować poprawnie **wytyczne działania**. Pedagogika była zawsze nauką normatywną w tym rozumieniu, iż dawała zalecenia. Przy założeniach idealistycznych zalecenia te miały charakter subiektywistyczny i służyły interesom klas panujących, ponieważ miały utrzymywać istniejącą rzeczywistość. Mechanizm uzasadniania norm był różny, ich sens klasowy był jednak. Metoda materialistyczna pozwala nam ustalać normy postępowania wychowawczego w łączności z produkcją praktyki wychowawczą, w której rośnie nowa rzeczywistość, nowi ludzie. Problem prawdy i praktyki generalnie rozwiązywany przez filozofię materialistyczną ma szczególne znaczenie dla pedagogiki jako nauki zajmującej się poznawaniem procesów wychowawczych i zarazem kierowaniem nimi. Metoda materialistyczna pozwala analizować zjawiska powstające dzięki racjonalnie organizowanej praktyce; normy postępowania wychowawczego stają się wyrazem prawidłowości procesów wychowawczych organizowanych przez nas na coraz wyższym poziomie w szkole i w organizacjach młodzieży. W ten sposób zalecenia wychowawcze wyrażają rosnącą rzeczywistość socjalistyczną, którą współbudujemy.

Te krótkie rozważania wskazują, iż stosowanie metody materialistycznej zmienia we wszystkich zakresach pracę poznawczą nauk pedagogicznych. Dzieje się to w zakresie badania i ustalania celów wychowania, dzieje się to w zakresie poznawania procesów wychowawczych, dzieje się to w zakresie poznawania i ustalania norm postępowania wychowawczego. Owocność metody materialistycznej dla nauk pedagogicznych może być najłatwiej rozumiana i oceniana na podstawie zrozumienia ścisłej łączności jaka zachodzi między procesem wychowy-

wania dzieci, młodzieży i ludzi dorosłych i procesem historycznego postępu, dziejowym procesem tworzenia się socjalistycznej rzeczywistości, socjalistycznego narodu. W tym dziejowym procesie tworzą się jakościowo nowe fakty; w działalności prowadzonej w tych nowych warunkach i dla nowych zadań tworzą się nowi ludzie. Nauki pedagogiczne muszą porzucić wiele dawnych pojęć i dawnych teorii jeśli chcą zrozumieć tę nową rzeczywistość i jej prawidłowości. Właśnie metoda materialistyczna uczy tworzenia nowych pojęć i nowych teorii w łączności z narastaniem nowych faktów; natomiast właśnie metoda idealistyczna uczy sztywnego trzymania się ustalonej i „wiecznej” struktury pojęciowej, lekceważenia nowej, rodzącej się rzeczywistości.

Cóż powiedzielibyśmy o przyrodniku, który chciałby analizować roślinność dzungli z kluczem roślin ustalonych na podstawie doświadczeń zebranych w podbiegunowej tundrze? Czy pedagog, który uparcie trzyma się pojęć i teorii pedagogicznych, uformowanych w warunkach kapitalistycznych, i z tego stanowiska patrzy na bogactwo zjawisk wychowawczych w warunkach budownictwa socjalistycznego, nie jest takim właśnie naiwnym — a i szkodliwym — przyrodnikiem? Właśnie zrozumienie metody materialistycznej pozwala naszej nauce przekształcać się i rosnąć wraz z nową rzeczywistością, aby, poznając ją w aspekcie wychowawczym, uczestniczyć w jej tworzeniu. Na tym — mówiąc najogólniej — polega owocność metody materialistycznej w naukach pedagogicznych.

Gdybym nie był materialistą...

Jako „praktykujący” astronom nie potrafię odpowiedzieć na wszystkie pytania, zwłaszcza dotyczące spraw dawnych. Wydaje mi się, że dziś wszyscy przyrodnicy są de facto materialistami, różnią się zaś od siebie jedynie mniejszym lub większym stopniem uświadomienia sobie faktu, lub mniejszą lub większą umiejętnością (lub potrzebą) sformułowania własnego światopoglądu.

Aby badać materię, obserwować zjawiska w niej zachodzące, wyciągać z tego wnioski i ustalać na tej drodze prawa rządzące materią, trzeba więc być materialistą nawet wtedy, gdy się nie chce nim być z takich czy innych powodów.

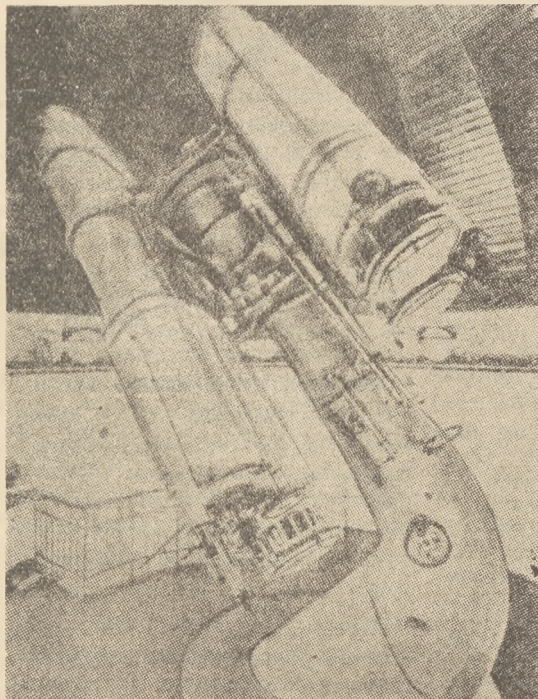
Wydaje mi się, że powody te są najczęściej natury pozanaukowej: tradycje, wpływy polityczne, brak

przymusu wewnętrznego (czasami może odwagi) do jasnego i niedwuznacznego określenia swego stanowiska wobec samego siebie i swego otoczenia. Czasami sceptycyzm rodzący się z niepowodzeń naukowych, lub trudności w rozwiązywaniu tego czy innego zagadnienia naukowego; sceptycyzm podsuwający bardzo „wygodną” myśl o „niepoznawalności” świata ogromnie ułatwiający pogodzenie się z własną niedoskonałością (lub — co na jedno wychodzi — z własnym niedołęstwem lub lenistwem).

Tak czy inaczej korzenie idealizmu tkwią dzisiaj poza nauką; jedynie cięń drzewa, które z nich wyrasta, pada czasami na naukę i wywołuje zaburzenia w jej rozwoju. Zaburzenia te powstawały również i w astronomii i pozostały

dość głębokie ślady. Mam tu na myśli **a s t r o l o g i e**, która powstała z pozanaukowego (niewątpliwie idealistycznego) przekonania o istnieniu paralelizmu lub związków między rozmieszczeniem planet względem gwiazd i horyzontu a losami jednostek lub narodów. Wśród wybitniejszych uczonych dawnych czasów niewiele zajmowało się astrologią; zajmowali się nią głównie ludzie przeciętni, dla których uznanie wśród władz i płynące stąd niezaskuszone korzyści materialne i moralne były wystarczającymi pobudkami do pracy. W ten sposób astrologia odwróciła uwagę wielu astronomów od zagadnień istotnych i stworzyła grunt podatny do wszelkich „nadużyć” naukowych, których świadkami jesteśmy nawet i dzisiaj. Astrologia stworzyła typ szarlatana i rodzaj legalnej szarlatanerii, który rozpowszechnił się w wielu innych dziedzinach nauki i działalności ludzkiej.

Ponieważ postawa materialistyczna na jest, moim zdaniem, jedyną postawą przyrodnika współczesnego, trudno mi doprawdy odpowiedzieć na ewentualne pytanie: w jakim stopniu postawa ta wpływa na stopień poznania i opanowania reprezentowanej przeze mnie dziedziny wiedzy? Postawa ta nie wpływa, lecz decyduje. Gdybym nie był materialistą, nie byłbym ani astronomem ani fizykiem, ani biologiem. Nie wiem doprawdy czym bym był. Nie byłbym sobą. Ci zaś, którzy zajmując się astronomią mają inną postawę — popełniają jakiś kompromis, utrudniając im zarówno zajmowanie się astronomią, jak też rozwiązywanie innych zagadnień życiowych. Nie znam astronoma, który byłby naprawdę idealistą. Znam natomiast nielicznych tych, którzy przy luncie są materialistami, w domu zaś — idealistami. To co robią oni poza astronomią jest na ogół nieciekawe i nie zasługuje moim zdaniem na jakąś głębszą analizę.



Astrograf składający się z sześciu teleskopów o równoległych do siebie osiach optycznych. (Z książki K. Surkowskiego — Instrumenty astronomiczne).

Dwa kroki wstecz

Wielu twórców i działaczy teatralnych niepokoi sprawą przyszych kadr aktor-skich i reżyserskich.

Od czasu do czasu pojawiają się w naszych periodykach kulturalnych alarmujące notatki o „niepokojącej przeciętności” wśród młodzieży, o niedoskonałościach warsztatowych młodych aktorów i reżyserów, słowem — o mgłę szarych, jaka spłynęła z wierzchołków Parnasu i pochłonęła nawet tych najmłodszych. Nikt wprawdzie nie zajął się jeszcze dogłębnie tym problemem, nikt nie próbował wyciągnąć konkretnych wniosków, wskazać na „grzechy główne” opiekunów i wychowawców artystycznych młodzieży. Nawet czasopismo „Teatr”, oficjalny organ Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu, nie wyszło poza nieprzemysłane felietonowe stwierdzenie, że młodzi nadają się jedynie do wnoszenia tacy na scenę.

Z drugiej jednak strony nawiązując do konferencji, narażdy i zjazdu nie rozstrzygną zagadnienia młodych twórców teatru (niewątpliwie poważnego i istotnego), jeśli pozostaną w dziedzinie deklaracji, uchwał i rezolucji, nie opartych o konkret, to znaczy o żywy teatr. A gdzież tu znaleźć konkret, to znaczy teatr, w którym młodzież dużo gra, rozwija się i kształtuje pod troskliwym okiem reżysera — pedagoga? Dobrze by było, żeby rozejrzeć się po kraju, aby wyszukać dwa, trzy ośrodki, gdzie młodzi stali się realizatorami, dającymi teatrowi świeżą sok

twórcze. Przykłady „Sztormu” Biłocerkiewskiego w Opolu czy „Tragedii optymistycznej” Wisława Szymborskiej na Wybrzeżu są chlubnym wyjątkiem.

Niebezpieczeństwo „starzenia się” teatru przez niezasilanie go młodymi twórcami dawno już dostrzeżono w Związku Radzieckim. Spektakle młodych w MCHACIE, olbrzymie, odpowiedzialne role grane w teatrach ukraińskich przez absolwentów przebywających dwa-trzy lata na scenie — to środki zmierzające do wychowania godnych następców wielkich aktorów radzieckich. Środki to jedne, gdyż nasz zawód określałają dwa niezbędne czynniki: **t e k s t i w i d z**.

Piszę o tym dlatego, że w splotie wielu przyczyn, jakie złożyły się na obecną sytuację naszej młodzieży teatralnej, jednym z podstawowych zagadnień jest kierowanie pierwszymi krokami aktora przez wytrawnego reżysera — pedagoga. Tak samo, jak dla młodego lekarza niezbędna jest praktyka kliniczna pod kierownictwem najlepszych specjalistów, tak dla kandydata na aktora konieczne jest zetknięcie się w ostatniej fazie studiów z **i d z e m**. Musimy dać naszym teatrom na prowincji w pełni przygotowanych do zawodu ludzi, umiejących nie tylko samodzielnie pracować nad rolą — tę umiejętność nabyla się w ciągu czterech lat studiów — ale i władających techniką swego zawodu, swobodnie poruszających się po scenie. Teatr na prowincji, gdzie nierzadko trzeba przygotować premierę w 5 — 6 tygodni, gdzie brak jest często dobrego

reżysera, nie ma ani czasu, ani możliwości, żeby uczyć aktora tych elementarnych spraw. W rezultacie jakże często na scenach prowincjonalnych spotykamy młodzież uzdolnioną, ale mającą duże braki warsztatowe. Młodemu, niedouczoneму aktorowi, pozbawionemu artystycznej opieki, trudno jest samemu nauczyć się tych rzeczy, przez co wielu zdolnych ludzi po kilku latach wpada w szlamę i rzemieślniczą rutynę. W trosce o rozwój naszego teatru musimy wypuszczać ze szkół teatralnych ludzi w pełni gotowych do zawodu. Umiejętności zaś, o których wyżej była mowa, nie nabydzie się w klasie szkolnej. Konieczna tu jest praktyka w żywym teatrze, zetknięcie z normalnym widzem.

Nie nie pomogą tu pseudotroskliwe deklaracje, orzeczenia i artykuły w sprawie młodzieży teatralnej, jeśli pozostaną w sferze ogólników.

Wiele się mówiło i pisało o konieczności powstania teatru szkolnego, teatru, gdzie młodzież IV kursu wydziału aktorskiego realizowałaby swoje warsztaty dyplomowe, gdzie młodzi reżyserzy mogliby wystawiać swe pierwsze przedstawienia, gdzie absolwenci Szkoły Teatralnej mogliby po ukończeniu studiów przez dwa, trzy lata pracować pod kierownictwem swych pedagogów — najwybitniejszych ludzi naszego teatru, aby okrępnąć i w pełni przygotować się do samodzielnej pracy w teatrze. Długo toczyła się walka o stworzenie tego teatru. Początkowo Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna otrzymała salkę na Jagiellońskiej — z ubogim wyposażeniem technicznym, nieprzystosowaną do najskromniejszych wymagań teatralnych. Był to jednak krok naprzód.

W tych prymitywnych warunkach zrealizowane zostały takie przedstawienia, jak np. „Trzy siostry” czy „Sen nocy letniej”. W końcu — wielkie zwycięstwo — otrzymaliśmy teatr, który miał się stać naprawdę n a s z y m teatrem, gdzie młodzież zdobywałaby swe doświadczenie w pracy ze starszymi kolegami — aktorami, pod kierownictwem wybitnych reżyserów. Ze związku ten był tak dla młodzieży, jak dla teatru ze wszech miar korzystny, świadczyć może przykład „Balladyna” — wystawienie której było nie tylko sukcesem, „jak na Szkołę”, ale stało się równocześnie wydarzeniem w naszym życiu teatralnym. Praca w teatrze nad warsztatami, włączenie przedstawień szkolnych do normalnego repertuaru — dało młodzieży doświadczenie niezwykle ważne, doświadczenie zetknięcia się z widzem. Jakąż różnicą dla młodego człowieka u progu jego życia teatralnego — zagrać dwa, trzy razy na pokazie dla „zainteresowanych” — czy grać 80 spektakli dla normalnej widowni. Prócz tego zasadniczego doświadczenia studenci na-

potkali na szereg problemów związanych z życiem społeczności teatralnej. Przyjęcie się z bliską tym problemem, udział w życiu zespołu, uchronię młodzież od wielu błędów jakie popełnia ona przy wejściu do teatru.

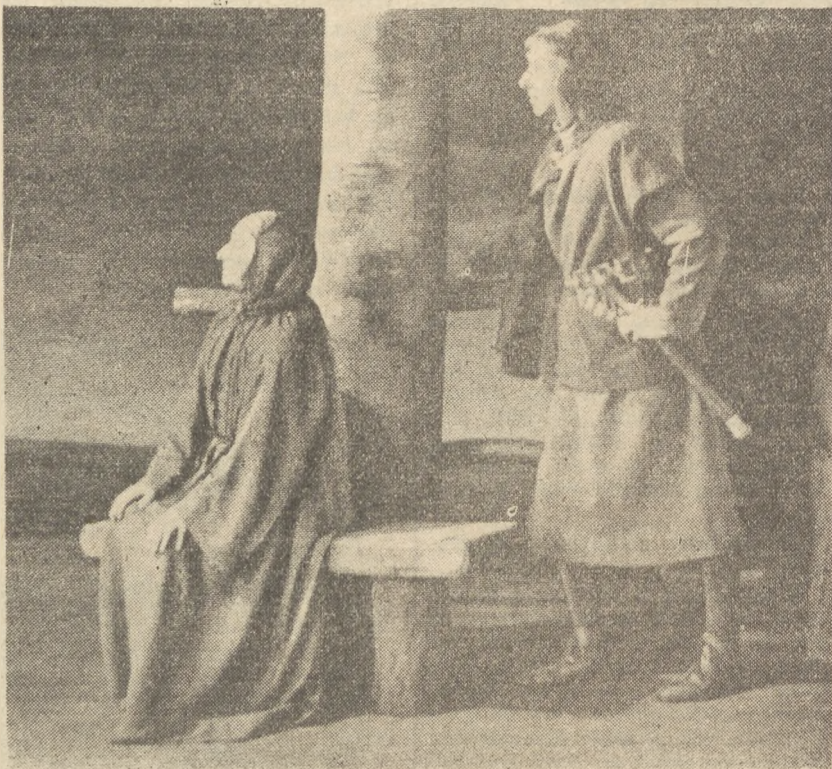
W ciągu roku Teatr Nowej Warszawy stał się więc organizmem, w którym najwięcej było młodości na scenie i widowni. Oczywiście stworzenie teatru to nie sprawa roku czy dwóch, ale już w ciągu tego krótkiego okresu nasze perspektywy stawały się coraz wyraźniejsze i bardziej określone. Powstawał **t e a t r m ł o d y c h d l a m ł o d y c h**.

Okazało się jednak, że rok bez zmian koncepcyjno — kierowniczych w teatrze — to za dużo. Zespół został powiadomiony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, że w maju br. teatr przenosi się do Pałacu Kultury i Nauki i tam zostaje przekształcony na teatr dziecięco-młodzieżowy. Na temat dalszych losów związanej z tym teatrem Szkoły — Ministerstwo nie powiedziało oficjalnie ani słowa. Jasne jest, że z tym nowopowstającym teatrem Szkoła nie może mieć tego kontaktu, jaki miała dotychczas. Jest to nie możliwe i ze względów zasadniczych — zmienia się kierownictwo teatru, nie będa z nim związani nasi pedagodzy, linia repertuarowa warsztatów szkolnych nie zawsze da się pogodzić z charakterem teatru — jak i ze względów technicznych — zaplecze i baza techniczna tego teatru są tak skromne, że Szkoła już się tam nie pomieści.

Nie chciałbym być źle zrozumiany — nikt z nas nie kwestionuje potrzeby teatru dziecięco-młodzieżowego. Dobrze, że taki teatr powstanie. Ale czy zagadnienie stoi — „albo-albo”? Albo teatr o tej koncepcji — albo teatr związany z młodzieżą aktorską i reżyserską? Czyż nie mogą istnieć te dwa teatry jednocześnie? Teatr dziecięco-młodzieżowy w Pałacu Kultury, a teatr szkolny w innym budynku, np. tu, gdzie był dotychczas — na Marszałkowskiej 8? Tak, ale ten lokal obiecany już Teatrowi Saliaryków, a w zwalnianym przez Teatr Domu Wojska Polskiego budynku przy ul. Królewskiej powstać ma wiejski teatr objazdowy. Oba te teatry mają duże znaczenie. A l e c z y z k s z t a l e n i e m ł o d y c h k a d r , to sprawa mniej ważna? To przecież jedno z najistotniejszych zagadnień dla przyszłości naszego teatru. Dlaczego więc jest tak karygodnie lekceważone? Dlaczego troska o młodzież ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki i innych czynników kierujących naszym życiem kulturalnym ogranicza się do deklaracji, w szczerość których trudno nam wierzyć, skoro nie są poparte czynem?

Dlatego czynimy dwa kroki wstecz?

ZYGMUNT LISTKIEWICZ



„Balladyna” w Teatrze Nowej Warszawy.

Foto: COPIA

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik”.

Redaguje kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18, ul. Wiejska 17/1. Telefon red. nacz. — 841-24. Centrala 832-91.

Prenumerata PROSTU przyjmowana jest w kioskach „Przeglądu” od 1 do 25 każdego miesiąca. Miesięcznik zł 1,40, kwartalnik 4,20, półrocznik — 8,40, rocznik — 16,80.

Administracja: RSW „Prasa” III Delegatka Warszawa, ul. Marszałkowska 8, tel. 807-11.

Drukarnia: RSW „Prasa” Warszawa, Marszałkowska 3/5.

B-61824

Nasze uniwersytety

„Postulaty, o które wraz z całą klasą robotniczą walczył Henryk Dembiński, są już dziś zrealizowane. Warto przypomnieć tradycję tej walki, gdyż uwypukla nam one z jednej strony osiągnięcia naszego ustroju, z drugiej zaś wagę stojących przed nami zadań”. (POPROSTU Nr 34 (300) 24.X.1954).

Zacytowane słowa obudziły we mnie wspomnienia z czasów dawnego, wileńskiego POPROSTU i zachęciły do podzielenia się nimi z młodymi czytelnikami dzisiejszego odrodzonego POPROSTU. Jerzy Putrament poświęcił swoją poświęconą tamtym czasom i sprawom („Rzeczywistość” to kryptonim POPROSTU) kończy zdaniem „...wtedy... uswiadomiłem sobie”, że należymy już do wspomnień i opowiadań.

Niewątpliwie, jako zespół, jako powszechnie znana „grupa Dembińskiego” należymy już do przeszłości i wspomnień. Lecz nie wszystko z nas jest tylko wspomnieniem. Żyje POPROSTU — nowe i wolne. Żyją ludzie niegdyś z nim związani, ludzie, którzy dziś tworzą i budują w radosnym trudzie to wszystko, o co niegdyś walczyli w trudzie ciężkim i niewiedzącym. Ci zaś towarzysze, którzy padli w walce — żyją w naszej wielkiej idei, w imię której działali i zginęli, żyją w naszych sercach i naszej pamięci.

PAMIĘTNE LATA FRONTU LUDOWEGO

O kres najbardziej bujnej działalności wileńskiej lewicy uniwersyteckiej przypada na lata 1934 — 1938. Były to lata doniosłych wydarzeń w świecie i kraju. W wielu krajach rządy swoje umacniały wtedy faszyzm, a agresja faszystowska święciła triumfy²⁾.

Wobec zagrażającej Polsce agresji hitlerowskiej, wobec groźby faszystyzacji kraju, utraty niepodległości — KPP rozwijała szeroką działalność w celu utworzenia frontu ludowego w Polsce.

W walce z sanacyjną polityką zdrady narodowej poważna rola przypadła też w udziale młodzieży zorganizowanej w Komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej, w Komunistycznym Związku Młodzieży Zachodniej Białorusi, w Komunistycznym Związku Młodzieży Zachodniej Ukrainy, w „Życiu” oraz w innych nielegalnych organizacjach młodzieżowych, które w legalnej i półlegalnej działalności realizowały postulaty frontu ludowego.

Wileńska organizacja nie była liczna, obejmowała zaledwie kilkanaście osób. Warunki, w jakich wypadało nam pracować, kształcić się i walczyć wymagały ścisłego przestrzegania zasad konspiracji, gdyż znaczna część pracy musiała się odbywać w podziemiu.

Konspiracja z kolei wymagała ludzi pewnych, oddanych i odwanych oraz sprawnie działającego aparatu organizacji.

Dla rozgałęzionej pracy podziemnej potrzeba było wielu zakonspirowanych lokali i jak największej sympatyków.

WALKA W MURACH UCZELNI

Najbliższe pole naszego działania to był naturalnie uniwersytet. Tu toczyła się walka o Bratnią Pomoc. Próba sił była wtedy doroczne wybory do Zarządu Bratniaka. My, jako przywódcy lewicy akademickiej nie mogliśmy nawet marzyć o zdobyciu władzy. Lista nasza, lista „Błoku Niezależnej Młodzieży” liczyła zaledwie około dwustu pod-

składaliśmy też nieraz swoje podpisy pod odezwami i petycjami przeciwko obozowi karnemu w Berezie Kartuskiej, przeciwko „numerus clausus”, gettu lawkowemu na uniwersytecie, itd.

JAK STUDIOWAŁYMY MARKSIZM?

Rzecz jasna, że ta bardzo różnorodna i odpowiedzialna działalność wymagała od nas, prócz oddania sprawie i pewnej praktyki rewolucyjnej, odpowiedniego przygotowania politycznego.

Zapoznanie się z podstawami marksizmu — leninizmu stawało się w tych warunkach najpilniejszym wymogiem życia, dawało orientację w naszej codziennej walce, rozoznanie istniejącej sytuacji kapitalistycznego społeczeństwa.

Ale „studiowanie” marksizmu było też najtrudniejszą częścią programu naszej działalności. Prócz dobrych chęci i pragnienia wiedzy nie mieliśmy nic, co by nam pozwalało zaspokoić to pragnienie.

Trudno było znaleźć odpowiednie materiały. Dzieła Lenina i Stalina były „białymi krukami” — uśmierzonymi do tego na indeksie. Dostęp do nich mogły uzyskać za specjalnym zezwoleniem władz na-

pracowano. Na przykład tak bardzo dziś u nas popularna i zupełnie niezbędna książka Jak „Historia WKP(b)”, która stanowi niezastąpioną podstawę dla zrozumienia praw rozwoju społecznego — jeszcze wtedy nie istniała (jak wiemy wyszła z druku dopiero w 1938 r.). Nie było ostatnich prac Stalina, posuwających naukę marksizmu o milowy krok naprzód.

Wszystko to nie sprzyjało poznawaniu marksizmu. Jednak mimo to „studiowaliśmy” marksizm, dążąc do rozszerzenia naszych horyzontów historyczno — politycznych i do podniesienia naszego poziomu ideologicznego.

NIEDZIELNE DYSKUSJE

Uczelnią naszą, miejscem „wykładów” i ćwiczeń były pola i lasy okolic wileńskich. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni niemal każdą niedzielę oraz inne wolne dni spędzaliśmy na wycieczkach.

Połączenie przyjemnego z pożytecznym było celem i sensem tych wycieczek. Przestrzeń, powietrze, przyroda i ruch dawały odprężenie po napięciu nerwowym dni i nocy całego tygodnia, wypelnionych po brzegi pracą zarobkową, naukową i społeczno — polityczną.



Henryk Dembiński



Stefan Jędrzychowski



Kazimierz Petrusiewicz



Maria Żeromska

turalnie tylko osoby godne zaufania.

Prawdziwe wiadomości z praktyki budownictwa socjalistycznego w Związku Radzieckim przedstawiały się do nas rzadko i bardzo okólnymi drogami. Związek Radziecki był przez władze policyjne od nas odgródzony wprost żelazną kurtyną. O tym kraju, który był dla nas wzorem i pomocą w niejednej trudnej sprawie, opowiadała tylko nieprzebierająca w środkach, szkalująca propagandę sanacyjna. Żadne prawdziwe wiadomości nie docierały do nas legalną drogą.

Na wyższych uczelniach nie było naturalnie katedr marksizmu — leninizmu, tak jak to jest obecnie, kiedy liczna kadra coraz lepiej przygotowanych wykładowców ułatwia studentom opanowanie podstaw teorii marksistowskiej.

Warto też pamiętać, że wiele materiałów, które są dzisiaj naszym chlebem powszednim, w latach 1935 — 38 w ogóle jeszcze nie o-

Wycieczki te — to ogólne „rendez-vous” grupy w komplecie. Wtedy to odbywały się wszelkie osobiste rozmowy i rozstrzyganie były wszelkie wątpliwości i kwestie natury organizacyjnej, wtedy odbywały się „narady produkcyjne” (planowanie, sprawozdawczość, wiadomości z terenu). Wycieczki stały się doskonałą sposobnością bliźszego poznania i ewentualnego pozyskania tak zwanych sympatyków i sympatyce, których kręciło się koło nas niemało.

Wówczas to, w warunkach konspiracji, pogłębiałyśmy wiedzę polityczną, studiowaliśmy marksizm, poznając jego ogromną siłę przekonywania wyrosłą z prawdy naukowej i rewolucyjnej walki proletariatu.

Porządek dzienny naszych „wycieczek” wyglądał mniej więcej następująco: część artystyczna (śpiew: najczęściej chórally, czasem solowy lub nawet w duecie) część oficjalna — wykład i dyskusja; część



„Grupa Dembińskiego” na niedzielnej wycieczce w 1936 roku. Widoczna czołwika narciarska — pierwsza od lewej Numa Bielska z „Rzeczywistości” Putramenta, tj. autorka artykułu.

sportowo — rozrywkowa. Wykładowcami byli najczęściej nasi przywódcy Henryk i Stefan⁴⁾. Henryk — zajadły antyfaszysta, spec od faszyzmu włoskiego i hitleryzmu, świetny interpretator polityki międzynarodowej. Stefan — specjalista od ekonomii politycznej (robił wtedy doktorat, najlepiej z nas wszystkich znał marksizm).

Tematy najczęściej były dwa: 1 — z teorii marksizmu, 2 — sytuacja międzynarodowa lub najnowsze wydarzenia w kraju.

Wiele już zatarło się w pamięci. Przypominam sobie najlepiej temat o materializmie dialektycznym. Sprawę dialektyki „rozgrzyaliśmy”

Takim „włamywaczem” i „przemytynikiem” była tow. Mucha Żeromska, która zaangażowała się do pracy w jednej z bibliotek miejskich, żeby tą drogą próbować dotarcia do niezbędnych materiałów, znajdujących się w dziale „sovietska”. Do działu tego miały wprawdzie dostęp tylko wybrane osoby, ale dzielna Mucha⁵⁾ stosując wypróbowaną taktykę wynosiła „pod polą” na światło dzienne liczne dokumenty, skazane zarządzeniami sanacyjnych władz na ukrycie w archiwalnych mrokach.

Na zajęciach poświęconych sytuacji politycznej w świecie i w kraju — atmosfera była znacznie swobodniejsza i bardziej ożywiona. Mówiło się o teorii i praktyce rządów faszystowskich, o niebezpieczeństwie hitlerowskim, o tym, do czego prowadzi sanacja, o wojnie w Hiszpanii, o ostatnich wydarzeniach w kraju, w które lata trzydzieste, a szczególnie rok 1936 były bardzo obfite, itd.

Pasjonującym tematem, niewyganianym nigdy do reszty, była groźba nowej wojny. Występowały tu poważne różnice zdań, toczyły się żarte dyskusje, w których nieraz padły mocne i ostre słowa.

Po takim wycieczce się intelektualnym odczuwaliśmy ostry głód. Następowal więc posilek i ostatnia część programu, część rozrywkowo-sportowa (rozmaitość ogromna: boks, walka francuska, biegi, skoki wzwyż i w dal, wspinaczka, rzucanie dyskiem i oszczepem) kamienie i kije, walka na szyszkach sosnowo, czasem nawet gra w piłkę i zawody pływackie.

Późno, nieraz już przy świetle księżyca i gwiazd wracaliśmy do miasta uzbrojeni w nowy zapas wiedzy i energii. Tak poznawaliśmy marksizm, rewolucyjną naukę o świecie. Takie były „nasze uniwersytety”.

¹⁾ Lato 1944 roku, gdy bezpośrednio po wyzwoleniu Wilna — spotkali się z nami członkowie grupy — nie wszyscy nieśli.

²⁾ Bandyci napad Włoch faszystowskich na Abisynię (rok 1935). Zbrojna interwencja Niemiec hitlerowskich i Włoch przeciw Republice Hiszpańskiej (lato 1936 r.). Wargniecie faszystów japońskich do Chin Środkowych (rok 1937). Zagarnięcie przemoce Austrii przez faszystów hitlerowski (rok 1938).

³⁾ Obóz Wielkiej Polski.

⁴⁾ Stefan Jędrzychowski — obecny wicepremier PRL.

⁵⁾ Współtwórczyni POPROSTU — prawa ręka Dembińskiego. Jedną z najbardziej aktywnych i zdolnych kobiet w grupie. Zginęła w obozie hitlerowskim — w 1945 r.

Świetlice na pierwszy plan!

Że coś tu jest grubo nie w porządku — o tym wiadomo już od dawna. Moglibyśmy więc poświęcić nieco miejsca na wyrażenie swego zdziwienia, dlaczego dotąd nie zabraliśmy się energicznie do tzw. „usprawnień na odcinku itd.” — ale właściwie po co? Zaniechawszy wzajemnych wyrzutów zestawimy sobie obiektywny bilans sytuacji na dzień dzisiejszy i zastanawiamy się, jak i co wypadłoby nam przedsięwziąć.



O czym mowa? Naturalnie o naszych świetlicach! Przeglądając się z boku świetlicom studenckim można by je z grubsza podzielić na 3 gatunki. Oczywiście o wyjątkach nie mówimy!

1. Świetlica „fata morgana” — objawia się zdumionym studenckim oczom w blasku drzwi otwieranych przed oficjalnymi gośćmi zwiedzającymi uczelnię, staje się rzeczywistością w ciągu kilku godzin najbardziej uroczystych akademii, po czym znika, jak ów pustyńny miraż dożywno zamknięta przed spragnioną młodzieżą. Jest przeważnie piękna, a nawet luksusowo urządzona, nieistotny istnienie jej cieszy wytwórnię władze uczelnie oraz pomekto-rych kolegów z instancji organizacji młodzieżowych.

Nie pytajcie drodzy czytelnicy dlaczego tak się dzieje, nie znajdziemy bowiem na usprawiedliwienie tego stanu rzeczy ani jednego rozsądnego argumentu, ponieważ takowy po prostu nie istnieje.

2. Świetlica „pod psem z kulawą nogą” — jest to instytucja wyszar-

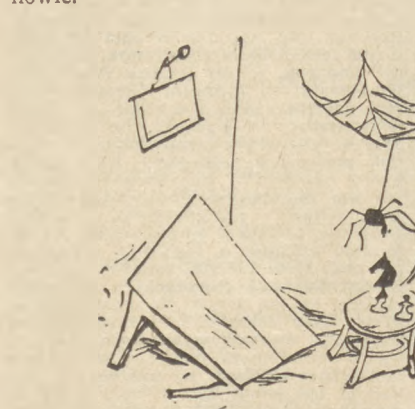
czające ponura, aby wbrew sztydowi mogła stać się przytuliskiem nawet dla owego kulawego psa. Zimna, pusta, zakurzona, z walającymi się po kątach połamanymi meblami i szczałkami dekoracji. Stoi tu czasem stół ping-pongowy, przy którym nie-



kiedy koledzy o desperackim usposobieniu rozgrywają kilka setów.

Poza tym nic się tu nie dzieje i działa nie może, z czym wszyscy milcząco się zgadzają.

3. Świetlica „pracująca”. Nad tym dziwnym gatunkiem świetlicy, która wbrew przyjętym ogólnie na uczelniach zasadom, otwarta jest codziennie dla pragnących ją odwiedzić studentów, warto się chwilę zastanowić.



W tym miejscu rodzi się w nas wątpliwość: czy przypadkiem przykłady takich „pracujących świetlic” nie działają zniechęcająco, czy nie dzięki nim stapiają się w jedno pojęcie „świetlica” i pojęcie „nuda”? Bo jakże inaczej wytłumaczyć inne zdumiewające zjawisko, że młodzież studencka nie domaga się głośno i energicznie od swych instancji organizacyjnych, od władz uczelni otwarcia zamkniętych, uruchomienia nie działających, usprawnienia

Bo oto obserwujemy tu zdumiewające zjawisko: frekwencja jest minimalna! A przecież opiekunowie świetlicowi starają się jak mogą: czasem jakiś wykład zorganizują, czasem pogadankę agitaacyjną, niekiedy nawet dyskusję nad książką czy filmem. Na ścianach mobilizujące hasła, lampy przybrane kolorową bibulką. Może tu poćwiczyć zespół artystyczny, zwoleńnicy tenisa stołowego energicznie trzaskają rakietkami. Na rozklekotanym już nieco pianinie bębni kto chce i jak umie. Słowem swobodna, niewymuszona atmosfera, od czasu do czasu impreza...

Wszystko na nic. Młodzież omija z dala „pracującą” świetlicę kręcąc nosami: jakież tam nudy! Sala zapelnia się jedynie wówczas, gdy odbywa się w niej wieczorna taneczna lub też w okresie przedsesyjnym, gdy zamienia się ją na jeszcze jeden pokój cichej nauki.

W tym miejscu rodzi się w nas wątpliwość: czy przypadkiem przykłady takich „pracujących świetlic” nie działają zniechęcająco, czy nie dzięki nim stapiają się w jedno pojęcie „świetlica” i pojęcie „nuda”? Bo jakże inaczej wytłumaczyć inne zdumiewające zjawisko, że młodzież studencka nie domaga się głośno i energicznie od swych instancji organizacyjnych, od władz uczelni otwarcia zamkniętych, uruchomienia nie działających, usprawnienia



kiepsko pracujących świetlic? Że apatyczny na ogół toleruje istniejący stan rzeczy? A może świetlice są zgoda młodzieży niepotrzebne?

Sprawa postawiona ryzykownie, nieprawdaz? No cóż, postaramy się być konsekwentni.

MIESZKAŃCY DOMÓW STUDENCKICH!

Do Was przede wszystkim kierujemy te słowa. W zagęszczonych, nieprzytulnych pokojach nie czujecie się najlepiej, choć rozumiecie doskonale, że to jest wszystko co państwo jest Wam w stanie dzisiaj dać, że to jest dużo, bardzo dużo.

W pierwszym roku, a także i później ostro, boleśnie tęsknicie za domem, za rodzinną atmosferą. W dżdżysty jesienią lub mroźny zimowy wieczór nie bardzo wiadomo co z sobą począć. Człowiek nie jest maszynką do uczenia się, potrzebuje rozrywki, odprężenia myśli i nerwów.

Ale budżet studenta jeszcze ciasny, nie zawsze można sobie pozwolić na teatr, koncert czy nawet kawiarnię. Chciałoby się spotkać z dziewczyną, czy pogwarzyć z przyjaciółmi. Latem to fraszka, do dyspozycji stoją parki i skwery. Ale jesienią, ale zimą? Zagęszczony pokój studencki nie staje się domem. Bywa smutno i nudno... Niekiedy zasiada się przy drzwiach zamkniętych nad kartami lub składkowym „pólitrem” z wiankiem kiełbasy, bo i cóż robić?

MIESZKAŃCY DOMÓW STUDENCKICH!

Czy potrzebne Wam są świetlice? Niekoniecznie wielkie, luksusowo urządzone salony, natomiast jasne, ciepłe, estetycznie udekorowane pomieszczenia przeznaczone dla Waszej wygody i odpoczynku? Świetlice, które będą prowadzone w myśl Waszych życzeń i pragnień, gdzie nie będzie Wam się z góry narzucać ani rodzaju imprez, ani trybu spędzania czasu, gdzie co dzień będziecie mogli (bez obawy przed karzącym spojrzeniem sztywnego aktywisty) spotkać się z ukochną, potańczyć przy muzyce z płyt, posłuchać radia, poczy-

tać czasopisma, zagrać w szachy lub pogawędzić z kolegami? Gdzie nie będzie Wam nad głowami stoic instrumentów zespół orkiestralny, czy hałasować uczelniany chór?

Pytania czyste retoryczne. Takie świetlice są najpilniej potrzebne, już, dziś, natychmiast. Takie świetlice zastąpią studentowi choć w części środowisko domowe, stworzą warunki do rozwijania kulturalnych nawyków, swobodnej wymiany myśli, atmosfery dyskusji i sporów intelektualnych.

A imprezy rozrywkowe i kulturalne? Owszem, są w świetlicy bardzo pożądane, pod warunkiem jednak, że program ich i liczebność zgodne będą z życzeniami prawdziwego gospodarza świetlicy: młodzieży, a nie narzucane jej z góry.



Można, wydaje się, uważać, iż porozumieliśmy się z grubsza co do stanu faktycznego, potrzeb istnienia i właściwego charakteru świetlic studenckich. To już coś znaczy, ale to jeszcze za mało.

Wypada zastanowić się nad najważniejszym: co mianowicie zrobić aby słusznie i usprawiedliwione pragnienia młodzieży w zakresie zapewnienia jej odpoczynku i rozrywki zostały w pełni zaspokojone. Nie jest to sprawa całkiem prosta.

I nie idzie tutaj nawet o trudności natury finansowej czy lokalowej choć i takie oczywiście wyłonią się

przed nami. Przy dobrych chęciach nie są one nie do pokonania. Inicjatywa gospodarskich rozwiązań znajduje się zapewne w każdym zespole młodzieży studenckiej, znajdzie się też niewątpliwie pomoc materialna ze strony władz uczelni i instancji organizacyjnych.

Trudnością podstawową będzie przełamanie tradycyjnych już poglądów na temat świetlic. W tej dziedzinie czeka nas zacięta walka. Stosunkowo najłatwiej przyjdzie nam sprawa z masami studenckimi, które co prawda na zasadzie dotychczasowych doświadczeń mają dość sceptyczny stosunek do pracy świetlicowej w ogóle, ale które wystarczy przekonać o tym, że „nowe” świetlice będą właśnie tym, co zaspoko- i ich realne potrzeby, aby poparty one starania aktywu i co więcej — domagały się głośno realizacji swych potrzeb w tej dziedzinie.

To właśnie sprawa najważniejsza, bo trzeba stworzyć coś w rodzaju



moralnej presji w stosunku do sztywniakich i oportunistycznych przekonań, że wykorzystanie wszystkich możliwych rezerw lokalowych pod systematycznie, na codzień działającą świetlicę może spowodować zahamowanie toku nauki studenta lub też, że ich swobodna zaspokajająca różnorakie pragnienia młodzieży atmosfera nie będzie do pogodzenia z „surowością” zasad zetempow-skich.

Porozumieliśmy się? Doskonale! A więc do dzieła! Świetlice na plan pierwszy!

IRENA KRZAKOWSKA